

AGRAFKA

3/2017/2018

Złoty Mistrz Forum Pismaków

OFICJALNY ORGAN PRASOWY SZKOŁY PODSTAWOWEJ I GIMNAZJUM PARNAS



*Choć nieraz mówię o durnej Polsce,
wymyślam na Polskę i Polaków,
to przecież tylko Polsce służę*

(J. Piłsudski)

W NUMERZE

NA PARNASIE

Wstępniak <i>Patriotyzm: hit czy kit?</i>	3
Ze szczytu Parnasu	4
Czy Polacy mają poczucie humoru?	4

WYDARZENIE NUMERU

Klasy siódme się integrują	5
Klasy drugie podbijają Warszawę	6
Ludzie ludziom zgotowali ten los	8
Dywan kryształów	9

TEMAT NUMERU

Halloween vs Dziady	10
Śmierć w Kraju Kwitnącej Wiśni	11
Ibi patria, ubi bene	12
Czy nauka idzie w parze z etyką	13
<i>Życie zmarnował, kto nikomu nie pomógł</i> Henryk Mosing i jego życie	15

HISTORIA I NAUKA

Czerwony Październik	18
Technews	19
Technews: Polscy naukowcy—wielcy patrioci	20

KULTURA I SZTUKA

Polska filmem stoi	22
Remaki, prequels, sequele	23
Obrazy mówią za artystę	24
Postjazzowe gatunki muzyki negroamerykańskiej	26

OPOWIADANIE

<i>Realna wyspa, cz.8</i>	27
---------------------------	----

KULINARIA

Pizzy nie da się nie lubić!	28
Kulinarna walka z jesienną chandrą	29

PARNASOWE WOJAŻE

Poznając smaki życia: Tajlandia	30
Erasmus+ w Chorwacji	32



TEMAT NUMERU

MOSING: PATRIOTA POZA OJCZYZNĄ

To numer szczególny: w dużej mierze poświęcony tematyce ściśle związanej ze zbliżającym się Dniem Niepodległości. 11 listopada, jak co roku, będziemy się zastanawiać, czy warto, czy wypada zastanawiać się nad takimi górnolotnymi pojęciami, jak OJCZYZNA, PATRIOTYZM, NARODOWOŚĆ...

Cóż, żyjemy w czasach, w których te wielkie pojęcia albo się zdewaluowały, albo są na tyle „przestarzałe”, że nie warto się nimi zajmować. Nie zastanawiamy się ani nad tym, jak to było, gdy Polski nie było na żadnej z map, a ni tym bardziej nad tym, jak my czulibyśmy się w sytuacji, gdybyśmy pozbawieni byli narodowości, a nasz kraj wolności. A przecież nie tak dawno tak właśnie było. A wolność, jak mówił św. Jan Paweł II nigdy nie jest nam na wieki dana, ale raczej ZADANA. Świątujemy 11 listopada często bezrefleksyjnie. Nie chce nam się szukać wzorców, autorytetów. A może nie tyle nie chce nam się ich szukać, co nic o wielu nie wiemy? Bezimienni bohaterowie. Jest ich tak wielu: bez nazwisk, bez twarzy, bez historii... Postawiliśmy sobie zadanie: ocalić od zapomnienia wielkiego patriotę, który o miłości do Polski musiał świadczyć, żyjąc poza granicami swej ojczyzny. Henryk Mosing: wielki uczony, lekarz, ratujący podczas wojny miliony ludzi. Miłość do kraju utożsamiał z miłością do drugiego człowieka, poświęceniem się w służbie choremu, cierpiącemu. Po wojnie jego ukochany Lwów nie był już polskim miastem. Postanowił jako katolicki duchowny świadczyć o miłości do swej ojczyzny, żyjąc w zgodzie z PRAWDĄ, zasadami. Miłość drugiego człowieka to też wielki sprawdzian patriotyzmu, człowieczeństwa! Dlatego w tym numerze wiele miejsca poświęciliśmy tym wielkim pojęciom: patriotyzmowi, dumie narodowej, etyce i moralności w życiu prywatnym i zawodowym, naukowym, byciu DOBRYM! Jak Henryk Mosing!

REDAKCJA

REDAKTOR NACZELNA

Amelia Rapacz

Z-CY RED. NACZELNEGO

Małgorzata Wiczorekiewicz

Zosia Daniłko

OPIEKA :

Joanna Zimnowoda

Prywatna Szkoła Podstawowa i Gimnazjum

Językowe PARNAS

we Wrocławiu

ul. Fabryczna 13

53-609 Wrocław

mail: joannabelfr@interia.pl

DZIENNIKARZE:

Mikołaj Górka

Szymon Jędrzejczak

Michalina Szymańska

Aleksandra Sośnierz

Ewa Piętera

Maksymilian Drabik

Justyna Jaśkiewicz

Jerzy Różycki

Julia Pawicka

Agnieszka Krawczyk

Mateusz Wróblewski

Michalina Świąćka

Juliusz Dworniczak, Ksawery Mościcki

Simona Szuster

Maria Czarnecka, Julia Kołtun, Martyna Kłóś

Okładka: <http://wiadomosci.dziennik.pl> i redakcja

Wszystkie teksty i zdjęcia publikowane na licencji CC BY
–SA 3.0 (wszystkie zdjęcia w numerze są własnością
redakcji lub zostały wykorzystane na mocy licencji CC0).

Dziękujemy redaktor naczelnej Barbarze Małędzie i
redakcji gazety „Batorak” z Liceum im. St. Batorego w
Warszawie za stałą współpracę redakcyjną oraz publi-
kację tekstu na łamach naszej gazety.

LISTOPADOWA NOSTALGIA



Bezustannie zapłakane niebo, zdenerwowany wiatr, obrażony dzień, zbyt szybko ustępujący miejsca nocy – dotarliśmy do kolejnego rozdziału naszej szkolnej książki. Tym razem swoje tajemnice odkrywa przed nami Listopad. Do niesprzyjającej aury dochodzi nietrzymająca się głowy wiedza i kartkówki, które niemal codziennie chcą tę wiedzę sprawdzać. Wiem, że chcecie ten rozdział jak najszybciej przekartkować, ominąć, w najlepszym razie przeczytać „po łebkach”. Wiem, że marzycie już o pachnącym cynamonem i choinką grudniu. Poczekajcie, nie spieszcie się, listopad kryje w sobie coś wyjątkowego, coś przełomowego.

To z pewnością inny przełom od noworocznego. Ten styczniowy wiąże się z nowymi planami, z naszym wybieganiem przyszłość, ten listopadowy lubi wracać do przeszłości. Listopad lubi się zatrzymać, zadumać na życiem i rzucić w wir głębokich przemyśleń. Wprowadza nas w nastrój powagi i wspomina tych, którzy odeszli z tego świata. W pierwszych dniach swego trwania pozwala nam wrócić myślami do tych najbliższych, tych których straciliśmy niedawno. W ciszy i tylko w swojej głowie „porozmawiać” z utęsknioną osobą, wpatrując się w delikatne światło znicza. Listopad wzrusza nawet tych, którzy jak ja, nie poczuli smutku po stracie kogoś bliskiego, bo nie stracili kogoś, z kim łączyła go szczególna więź. I choć mam nadzieję, że taka strata jak najdłużej mnie nie dotknie, to mam świadomość, że pisana jest każdemu z nas.

Gabriel Garcia Marquez pisał, że „Człowiek nie należy do żadnej ziemi, póki nie ma w niej nikogo ze swych zmarłych”. Te słowa odnoszą się do myśli, które towarzyszą nam w dniu Wszystkich Świętych, ale i do myśli innego listopadowego święta, wyjątkowego dla Polski i Polaków, dnia 11 Listopada. To czas, w którym wspominamy odzyskanie przez nasz kraj, po 123 rozbiorów, niepodległości. Słowa Marqueza podkreślają szczególną więź człowieka z własną ojczyzną, podkreślają patriotyzm. Tylko, jak być patriotą dziś? Jak okazywać miłość do ojczyzny? Na czym polega współczesny patriotyzm?

Moim zdaniem nie wystarczy wywieszanie flagi w dniu odzyskania niepodległości, na pewno nie trzeba nosić odzieży patriotycznej czy zdobić domów symbolami Polski Walczącej. Nie łączmy patriotyzmu z nacjonalizmem i ksenofobią. Nie przyznawajmy prawa do patriotyzmu jednej czy drugiej stronie politycznej, jednemu czy drugiemu wyznaniu. Walczmy, nie z bronią na polu bitwy (mam nadzieję, że nigdy nie będzie takiej konieczności), ale każdego dnia, argumentami z niesprawiedliwości, obojętnością, poniżaniem drugiego człowieka. Korzystajmy przy tym z doświadczenia przodków, w końcu historia kołem się toczy. Życie jest zbyt krótkie, by uczyć się na własnych błędach, warto korzystać z doświadczeń przeszłości, by tworzyć bezpieczną teraźniejszość i piękną przyszłość. Zrobiło się poważnie, ale zrozumienie idei patriotyzmu to poważna sprawa.

W tym roku, w listopadowym numerze AgraFki skupimy się na rozważaniach wokół naszej ojczyzny. Zaprezentujemy, czym jest patriotyzm, jak być patriotą poza ojczyzną: przez pryzmat postaci Henryka Masinga. Na wiele nurtujących Was pytań znajdziecie odpowiedź na kolejnych stronach naszej gazetki, nad resztą musicie się sami zastanowić. Nie bójcie się, nie zabraknie i innych artykułów, związanych z filmowymi recenzjami, kulinarnymi smakami, parnasowymi wojażami, jak tym kulturoznawczym do Poznania i klasowymi do Warszawy, Krakowa i Oświęcimia oraz Krzyżowej.

Pięknej lektury...

ZE SZCZYTU PARNASU

Za nami ponad dwa miesiące ciężkiej i mrówczej uczniowskiej pracy. Jednak mieliśmy też czas na przyjemne rzeczy: wspólne wyjazdy czy wspólne wyjście do kina. Zaczęły się konkursy, ruszyły koła zainteresowań, a klasy 7. czują się jak u siebie...

Dzień Edukacji Narodowej

13 października na długo zapamiętają klasy 7. Dzięki klasie 2a i jej wychowawcy: pani Joannie Zimnowodzie mogli razem z całą bracją uczniowską gimnazjum udać się na kulturalne „wagary” do kina Helios. To tu, w kinowej atmosferze, świętowaliśmy uroczystie Dzień Edukacji Narodowej. Uroczystość przygotowała i poprowadziła klasa 2a (Maciej Marcinkowski i Ola Dominiak i inni). Oprócz prezentów dla nauczycieli przygotowali też niespodziankę dla 7-klasistów: uroczystość pasowania i włączenia do szkolnej społeczności. Uwieńczeniem imprezy był pokaz wspianego dzieła „Twój Vincent”. Wrażenia z tego dnia pozostaną na długo!

Kulturalnie z Fridą

Tym razem do Poznania udały się aż dwie grupy z naszej szkoły: fakultetu



turystycznego z panią Małgorzatą Sępnicką oraz grupa pod przewodnictwem pani Iwony Morawskiej-Kuchno. Cel wyjazdu tym razem bardzo kulturalny: w Centrum Kultury Zamek obejrzelśmy prace jednej z najsłynniejszych artystek pierwszej połowy XX wieku – Fridy Kahlo. To pierwsza i jedyna w swoim rodzaju prezentacja dzieł artystki w Polsce. Pokazano na niej również obrazy i rysunki Diego Rivery, fotografie Bernice Kolko, malarstwo i grafiki Fanny Rabel oraz współczesną sztukę meksykańską z kolekcji prywatnych oraz Muzeum Narodowego w Warszawie. Wieczorem część naszych uczniów obejrzała także spektakl „Great Poland” w reżyserii Aleksandry Jakubczak. Wyjazd na pewno należy uznać za niezwykle emocjonujący!

Erasmus+: tym razem w Chorwacji

Tym razem nasi uczniowie pod opieką pani Joanny Wałcerz i pana Piotra Wałcerza w ramach realizowanego projektu Erasmus + udali się do Chorwacji. Po drodze mogli zwiedzić przepiękny Budapeszt i Wiedeń. To już kolejny wyjazd w ramach programu Erasmus+. Następnym etapem jest wizyta u naszych zachodnich sąsiadów: w Bonn. Już nie możemy się doczekać!

Aleksandra Sośnierz

CZY POLACY MAJĄ POCZUCIE HUMORU?

Podczas pobytu w Poznaniu, uczniowie naszej szkoły mieli okazję zobaczyć przedstawienie „Great Poland” w reżyserii Aleksandry Jakubczak. Tytuł sugerował, że spektakl będzie miał na celu pokazanie świetności naszego narodu.

Na scenie wystąpiło 5 aktorów i narrator, który „wprowadzał” do każdej scenki. Już początek jest frapujący: podczas gdy aktorki tańczą poloneza, narrator odczytuje listę epitetów charakteryzujących Polskę. Jego pierwsze słowa brzmią: „Polska to kraj, gdzie tylko chleb, sól i wódka, kraj, gdzie wszyscy całują się trzy razy w oba policzki, gdzie bieda, nierówności społeczne, antysemityzm i kredyty we frankach.” Cóż, ja już po pierwszej scenie miałam mętlik w głowie. Nie byłam pewna, czy mam się śmiać czy płakać. Kolejne akty w większości mnie bawiły. Z drugiej strony, czy może bawić to, że dzieci od najmłodszych lat są uczone, że gej to ten zły? Każdy uchodźca to terrorysta? Zdecydowanie nie! Myślę, że to uświadomienie Polakom ich zaściankowości i ksenofobii było celem reżysera. W sposób prześmiewczy, lekki pokazać sytuacje okropne, ale prawdziwe. Gra aktorska w przedstawieniu prezentowała się nie najgorzej. Jednak połączenie gry młodych, niedoświadczonych aktorów z grą tych doświadczonych, starszych takich, jak Wojciech Kalwat czy Barbara Krasieńska, wychodzi średnio. Podsumowując, wychodząc z teatru byłam zachwycona. Jednak w konfrontacji z innymi widzami, którzy nie byli pod wrażeniem spektaklu, a wręcz przeciwnie, czuli się urażeni, miałam wrażenie, że zaszło pewne nieporozumienie... Może doszło do sytuacji, o której na początku spektaklu mówił narrator: „Polacy nie mają poczucia humoru, potrafią się śmiać, ale nie z siebie.” Dlatego nie polecam spektaklu osobom szybko irytującym się, bez dystansu i biorącym wszystko na serio. Natomiast resztę zapraszam serdecznie, bo spektakl ma niewątpliwie walor: pozostawia dużo miejsca na własną interpretację i samodzielne wyciąganie wniosków...

KLASY SIÓDME SIĘ INTEGRUJĄ!

Nowa szkoła, nowi nauczyciele, nowi znajomi... Nie dziwi więc idea wycieczki integracyjnej na początku roku szkolnego. Klasy 7., podobnie jak uczniowie gimnazjum, swą integrację mieli na początku października, w Krzyżowej.

Poznajac historię Krzyżowej

Spotkaliśmy się pod budynkiem starej szkoły. Z daleka było już słychać śmiechy uczniów. Nauczyciele przywitani zaspakowanych szerokimi uśmiechami. Rozpoczął się wyścig pakowania walizek do autokaru. Zajęliśmy sprintem miejsca na tyłach. Później koledzy, żeby wprowadzić w dobrą atmosferę, w autokarze puścili muzykę. Świetnie się bawiliśmy. W końcu dotarliśmy do Krzyżowej. W pierwszym dniu mieliśmy czas na zwiedzanie: obejrzelismy m.in. imponujący pałac w Krzyżowej i poznaliśmy jego historię (szczególnie tę, związaną z tragicznym okresem II wojny światowej). Po zwiedzaniu nadszedł czas

chodzącym z Niemiec. Porozumiewaliśmy się po angielsku, więc mieliśmy okazję podszlifować znajomość tego języka. Pan Moritz przygotował dla nas ciekawe zajęcia. Między innymi, trzymając się za ręce, musieliśmy się „zaplątać”, a następnie „odpłątać”, co wcale nie było takie łatwe. Próbowaliśmy trzy razy i dopiero za ostatnim się udało. Podczas kolejnych zabaw wcale nie było łatwiej, ale za to wprawiły nas one w świetny nastrój. Dostaliśmy również zadanie, trochę



Krzyżowa odkryła przed nami swoją historię

powiązane z fizyką. Musieliśmy wykazać się pomysłowością. Chodziło o to, by każda z grup, na które zostaliśmy podzieleni, wykonała konstrukcję, w której umieści jajko. Jajko nie mogło się stłuc przy spuszczeniu konstrukcji z wysokości. Tylko jednej grupie zadanie to się udało. Zajęcia były świetną okazją do wspólnej zabawy, integracji, współdziałania, wymyślania kreatywnych rozwiązań... słowem- wszyscy 7-klasiści świetnie się zintegrowali! W autokarze w drodze powrotnej znów zabrzmiała muzyka, więc wszyscy się dobrze bawili. Gdy po dotarciu na miejsce wszyscy się rozchodziliśmy, po twarzach uczniów było widać, że bardzo im się wycieczka podobała i że chętnie zostaliby w Krzyżowej dłużej. Szkoda, że już nie będzie drugiej takiej wycieczki. To wspaniałe przeżycie. Ale, ale... Integracji już, nie będzie, ale przed nami... kolejne wycieczki. A ponieważ już się znamy jak tyse konie, może być jeszcze ciekawiej...



Warsztaty ujawniły nasze artystyczne zdolności

na zajęcia warsztatowe: między innymi malowaliśmy torby. Mieliśmy przy tym dobrą zabawę. W południe głodni, doczekaliśmy się w końcu obiadu. Wreszcie przerwa, podczas której mogliśmy zobaczyć nasze pokoje. Po odpoczynku pełni zapału wróciliśmy na zajęcia. Wieczorem odbyła się impreza przy ognisku i... zabawa w berka. Co poniektórzy wpadli do rzeki! Cóż, niestety cisza nocna zaczęła się o godzinie 22, a więc jak zwykle stanowczo zbyt szybko.

Wycieczka Integracyjna: dzień 2

Nazajutrz, po pożywnym śniadaniu i sprzątaniu pokoi czekał nas kolejny dzień świetnych zabaw. Tego dnia w planach mieliśmy zajęcia z panem Moritzem po-



Był też czas na integrację i kreatywne rozwiązywanie zadań

Małgorzata Wieczorkiewicz

KLASY DRUGIE PODBIJAJĄ WARSZAWĘ

28 września 2017 roku drugoklasiści z Parnasu wyruszyli na wycieczkę. Jednak nie byle jaką. Celem ich podróży był podbój stolicy. I uczestnictwo w wielu kulturalnych wydarzeniach.

Podróż w czasie

Godzina siódma. Kierowca przy sterze. Można jechać. Na co? Na czterniowy podbój Warszawy.

Po paru godzinach słuchania głośnej muzyki, krzyków, śmiechów i nieudanych próbach zaśnięcia, a niekiedy czytania książki, docieramy na miejsce. Zza szyb mamy okazję zobaczyć Pałac Kultury i Nauki i symbole miasta, takie jak słynna palma. Uzbrojeni w bilety i aparaty fotograficzne udajemy się do Muzeum Powstania Warszawskiego. To miejsce miałam okazję odwiedzić drugi raz, ale kolejną wizytę przeżyłam dojrzałej. Wstrząsnął mną film pokazujący widok miasta po akcji „Burza” z lotu ptaka. Jednym słowem – cmentarzysko gruzów. Mogiły, Liberator, pamiątki po powstańcach – wszystko to wydaje się być nam już bliższe.

Wrześniowa zaduma

Po szybkim obiedzie i równie szybkim zakwaterowaniu w hostelu „Krokodyl” na Pradze, jedziemy na Wojtkowy Cmentarz Powązek. Gdy tam docieramy, niebo zaczyna szarzeć, a choć jeszcze jest wrzesień, czuje się listopadową zadumę. Zapalamy znicze bohaterom książki „Kamienie na szaniec”, a także jej autorowi. Płomyki od nas płoną również na grobach Juliana Tuwima i innych sławnych Polaków. Wychodzimy w ciszy,

przyłoczeni obecnością skromnych żołnierskich mogił, od których nie bije nawet najmniejsze światełko lampki.

Kolejny dzień rozpoczyna się wcześniej. Harmonogram jest bowiem dosyć napięty, a na całkowite podbicie stolicy mamy jeszcze tylko dwa dni. Jako pierwsze odwiedzamy II LO im. Stefana Batorego, po którym oprowadza nas redaktor naczelna gazety „Batorak” – Magda Molęda. Ci, którzy czytali już „Kamienie na szaniec”, mają okazję poznać lepiej sylwetki Zośki, Alka i Rudego. Ci, którzy są przed lekturą książki, z zaciekawieniem poznają szkołę bohaterów. Czas w Batorym ucieka bardzo szybko i musimy już pędzić do Muzeum Żydów Polskich – Polin. Tam mamy zaplanowane spotkanie z panią Haliną Grubowską, ocalałą z Holocaustu. Następnie dzielimy się na dwie grupy i idziemy na warsztaty. Jedne, dotyczące wielokulturowej Polski i drugie: o historii Żydów w wojennej Warszawie i Irenie Sendlerowej ratującej żydowskie dzieci z warszawskiego getta.

Lektura na wesoło

Później podbijamy okolice na obu brzegach Wisły. Jako pierwsze zostaje zdobyte planetarium przy Centrum Nauk „Kopernik”, gdzie oglądamy filmy o wy-



Pamiętać

prawie na Marsa i drugi: o selekcji naturalnej według Darwina. A gdy powoli zapada zmrok, przy świetle latarni i akompaniamencie wieczornego wiatru przekraczamy most Świętokrzyski, by za chwilę zasiąść na widowni Teatru Powszechnego. Wystawiany spektakl przez ekipę „Montownia” nosi tytuł „Quo vadis” i został wyreżyserowany przez Rafała Rutkowskiego. Forma przedstawienia nawiązuje małą liczbą aktorów do teatru antycznego, z kolei sama scena jest tak skonstruowana, by przez wniesienie jednego mebla stać się domem Petroniusza, a potem pałacem cezara. Oglądaniu spektaklu towarzyszą nasze śmiechy, a po wyjściu z teatru, nie tracąc humoru, dyskutujemy na temat tak odbiegającego od stylu książki sposobu ukazania fabuły „Quo vadis”.

Sobota to przedostatni dzień podboju Warszawy, a zarazem najluźniejszy ze wszystkich, bo głównym celem jest zwiedzanie zwiedzanie Starówki. A wieczorem... ponowna wizyta w teatrze.

Czary - Warszawy

Stare Miasto jest imponujące. Każda kamienica jest owiana legendą i kryje jakąś tajemnicę. Do dziś nie wiemy, czy marszałek Piłsudski żartował w sprawie budowy domu bez kantów. A pomnika pana Prusa jest nam szkoda, bo prawdopodobnie za niedługo zostanie przeniesiony z Krakowskiego Przedmieścia w inne miejsce w Warszawie. Jesteśmy świadkami symbolicznej zmiany warty przy Grobie Nieznanego Żołnierza.



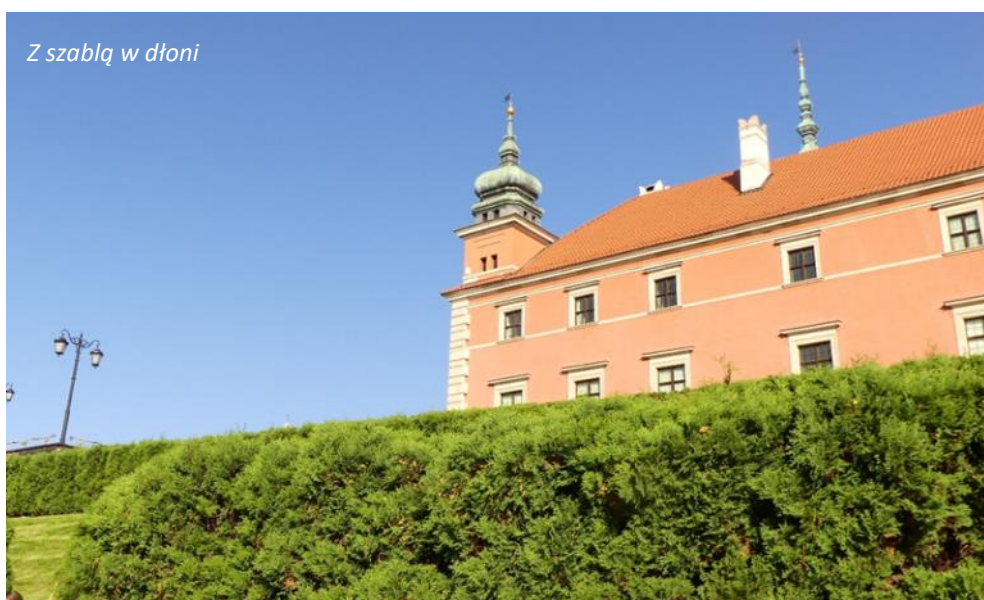
Wierzyć

Po intensywnym zwiedzaniu Starówki otrzymujemy trochę czasu wolnego. Jako że jest to dzień chłopaka, kupujemy naszym panom drobne upominki. Potem przychodzi czas na spacer po Parku Łazienkowskim, gdzie mamy okazję zobaczyć Pałac na Wodzie i spacerującego tam pawia, który swoją deza-probatę wobec nas wyraża dosyć otwarcie. Nakręcamy też kilka filmików z oswojonymi wiewiórkami w roli głównej.

I znowu wesoło?

Wieczorem wszyscy w galowych strojach udajemy się do Teatru Polskiego na spektakl „Zemsta” z Danielem Olbrychskim w roli Cześnika Raptusiewicza. Przedstawienie, któremu towarzyszy rubikowska piosenka, bawi. Śmiech wywołuje często osoba Podstoliny, w którą wcieliła się Joanna Trzepiecińska. Po spektaklu miła niespodzianka: pani Joanna zaszczycą nas i robi z nami wspólne zdjęcie przed budynkiem teatru. Zmęczeni po całym podboju Warszawy udajemy się do „Krokodyla” (czy tylko mi wydaje się to niezwykle dziwnym zbiegiem okoliczności?) na spoczynek, by następnego dnia wyruszyć do Wrocławia.

Rankiem następnego dnia wszyscy jesteśmy już gotowi do opuszczenia zdobytego miasta. Pożegnaliśmy szczerzącego się do nas w zębatym uśmiechu „Krokodyla” (może to o niego Klara prosiła Papkina), a także Pałac Kultury. Wycieczka była pełna wrażeń, zarówno nostalgicznych, jak i tych zabawnych. Jedno jest pewne: wspomnienia pozostaną w naszych głowach na długo. A różnej miary oceny z kartków z wycieczki w naszych dziennikach będą widniały do końca roku...



Michalina Szymańska

LUDZIE LUDZIOM ZGOTOWALI TEN LOS KLASY TRZECIE Z WIZYTĄ W AUSCHWITZ BIRKENAU

Smutek, złość, bezradność, przerażenie, niedowierzanie, zawiedzenie, pustka - to właśnie czułam podczas wizyty klas 3. naszej szkoły w Auschwitz i Auschwitz – Birkenau: miejsca śmierci i męczarni milionów osób. To tu była fabryka śmierci, czego dowodził dym unoszący się nad obozem. Teraz, patrząc na ruiny krematorium i rzędy kominów, które pozostały po barakach. jedynie możemy sobie tylko wyobrazić, jak dużo osób tam zginęło.

Smutek. Łzy cisną się do oczu, gdy uświadamiam sobie, że ten starszy mężczyzna z łaską, który właśnie został skazany na śmierć, kolejnego dnia był umówiony ze znajomą, miał świętować pierwsze urodziny wnuczki, ślub swojej córki, a zamiast tego poprowadzono go długim traktem na "prysznic". Odebrano mu wszystko, a potem zagazowano. Nie miał szansy na przeżycie ani na godny koniec. Nawet po śmierci odebrano mu złoty ząb, protezę jego samego spalono, a prochy rozsypano gdzieś w obozie. Ślad po nim zaginął, zostało tylko zdjęcie, na którym uchwyciono moment skazywania go na śmierć. A obok niego szła młoda Żydówka z jeszcze nienarodzonym dzieckiem. Została oddzielona od swojego kochającego męża i nigdy go już nie zobaczy. O z kolei nie zobaczy pierwszego uśmiechu ich córeczki, nie usłyszy jej pierwszego słowa, nie pomoże jej stawiać pierwszych kroków, nie będzie jej mógł pocieszać ani cieszyć się razem z nią. A tam z przodu stoi pięcioletnia dziewczynka: trzyma za rękę swoją babcię i patrzy za swoją mamą, która trafiła do innej grupy. Wszyscy stoją oszukani, razem pójść na śmierć i już nigdy nie zobaczyć swoich rodzin, nigdy nie pójść na spacer, nigdy nie ujrzą słońca. Droga na śmierć to ostatnie chwile z rodziną, to ostatni spacer, to ostatni promień słońca.

***"W wielkich skrzyniach
 kłębią się suche włosy
 uduśzonych
 i szary warkoczek
 mysy ogonek ze wstążeczką
 za który pociągają w szkole
 niegrzeczni chłopcy."***

Złość. Czemu nikt się nie buntował, czemu się na to godzili, dlaczego nie powiedzieli „Nie” i uwierzyli w te brednie. Dlaczego bez mrugnięcia okiem naziści mordowali tych niewinnych ludzi, dlaczego skazali ich na takie męki. Czy to przez brak sumienia, a może byli zbyt omamieni przez Adolfa Hitlera. A może kazano im, kazano, więc nie mogli się sprzeciwić. To nie jest usprawiedliwienie.



Bezradność. Chodziłam wśród budynków fabryki śmierci i mogłam tylko patrzeć na dowody tak potwornej zbrodni. Oczami wyobraźni widziałam, jak przede mną katują człowieka, jak umiera on z głodu, pragnienia, choroby czy wycieńczenia, a ja nie mogłam nic zrobić. Słuchałam tylko o tym, w jakich męczarniach ginęli ludzie i czułam bezsilność. Jedyne, co mogę zrobić, to postarać się, żeby nie doszło do tego w przyszłości. Jednak przeszłości nie zmienię.

Przerażenie i niedowierzanie. Nie mogłam uwierzyć, że tak dużo ludzi zginęło w tym obozie. To liczba nie do ogarnięcia przez mój umysł. Czy człowiek może być zdolny aż do takiej nienawiści? Nie

potrafię tego pojąć. To dla mnie zbyt przerażające.

Zawiedzenie. Nie mogłam zrozumieć postawy kilku mężczyzn, którzy w tym miejscu pamięci przez chwilę przepychali się i śmiali. Może nie potrafili udźwignąć tego ciężaru? Nie wiem, ale zawiodła mnie postawa ludzi tu przebywających. To, że niektórzy dorośli nie potrafili uszanować powagi tego miejsca. To, że w baraku, gdzie były kiedyś przetrzymywane dzieci i młodzież, osoby w moim wieku lub trochę starsze zostawiły po sobie "pamiątki" w postaci wyznań miłosnych czy zwyczajnych podpisów. Zawiodło mnie również to, że Auschwitz stało się „masówką”; miejscem, gdzie ludzie przychodzą odwiedzić kolejny zabytek, a przewodnicy przekazują ze znużeniem kolejny raz te same informacje. Jednak to przynajmniej jestem w stanie w jakimś stopniu zrozumieć. Też nie byłabym w stanie przekazywać tak trudnych informacji z takim samym zaangażowaniem i „pasją”.

Pustka. Idąc między budynkami głównego obozu, nie czułam nic. Owszem, miałam świadomość, ilu ludzi tu zginęło, ale to nie działało na mnie. Szłam, a tam kolejna ceta śmierci, ceta głodowa, kolejne tysiąc butów na całym stosie, kolejne imię i nazwisko w Księdze Imion, kolejna śmierć i kolejna. To wszystko było jakby odległe i nie dotarło to do mnie. Nie czułam nic, gdy wyszłam z Auschwitz 1, tylko pustkę. Dopiero później, uświadamiając sobie, ile marzeń, pragnień, historii tam zginęło... dopiero wtedy poczułam przerażenie ogromem tej zbrodni. Dopiero widok starszego Pana z łaską idącego na śmierć, poruszył mnie. Idąc tą samą drogą, poczułam ból miliona historii tak różnych, a zakończonych tak samo.

DYWAN KRYSTAŁÓW

Noc z 9 na 10 listopada 1938 roku. Na ulicę Breslau wychodzą umundurowani esesmani z pałkami w rękach. Podchodzą do witryn sklepowych Żydów na Gardenerstrasse czy Sadowastrasse. Po chwili słychać dźwięk tłuczonego szkła. I tak do południa następnego dnia. Nie ostanie się żadne żydowskie mieszkanie, synagoga – wszystko zniknie. A to dopiero zapowiedź dramatyczniejszych zdarzeń.

Zmiany

Sytuacja Żydów w Niemczech zmieniła się w 1933 z dnia na dzień. Poważani wcześniej bogaci handlowcy stali się podludźmi. Z każdym rokiem obywatele żydowskiego pochodzenia – którzy czuli się Niemcami, a III Rzeszę uważali za swoją ojczyznę – spotykały kolejne represje. Dzieci usuwano ze szkół, zabraniano przebywania w miejscach publicznych, takich jak teatr czy kino. Mimo to nie zamierzali emigrować.

Waltera Tauska: żydowskiego kupca z Breslau, który spisał swoje wspomnienia z przedednia II wojny światowej, dręczyły złe przecucia. Nie mylił się.

Do gmachu sądu wbiegali rozwścieczeni Niemcy, krzyczący, żeby wygonić z państwa Żydów. W Lesie Osobowickim znęcano się nad żydowskim dyrektorem teatru. Nauczycieli żydowskiego pochodzenia zwalniano z pracy. Paszporty zachowywały ważność tylko na terenie kraju.

Noc hańby

„Pretekstem” do nocy kryształowej okazał się udany zamach na niemieckiego dyplomatę w Paryżu dokonany przez Herschela Grynszpana. Kilka dni później gestapo i SS rozpoczęły przygotowania do nocy. Nocy, która na zawsze zmieniła Breslau.

Pogrom rozpoczął się godzinę po północy. Po chwili chodniki większości ulic, przy których mieszkali Żydzi, pokryły się odłamkami szkła z wybitych okien i witryn sklepowych. We framugach nie zostało nic. Ani jedno szkiełko. Wszystko leżało na bruku.

Podpalili Nową Synagogę Na Wygonie, drugą największą w Niemczech. Od początku swojego istnienia była jednym z najbardziej rozpoznawalnych elementów miasta – wszystko za sprawą romańskiej kopuły z pięknymi witrażami. Swoimi rozmiarami również imponowała, gdyż



Synagoga przed podpaleniem

mieściła ok. 2 tysięcy modlących się. Nikt jednak w 1938 roku nie patrzył na budynek z szacunkiem. Chcieli jej zniszczenia. I zniszczyli. Do rana Synagoga zmieniła się w zgłiszcz. Strażacy pilnowali jedynie, by ogień nie prześlizgnął się na sąsiednie kamienice. Rabbimu nie pozwolili wynieść Tory. Polskie kobiety, które wyraziły swoje oburzenie, zostały pobite przez żandarmów. W końcu oddziały saperskie wysadziły piękną kopułę, która, przez przechylenie, stanowiła zagrożenie. Dziś z Synagogi na Wygonie nic nie zostało. Na jej miejscu znajdziemy tylko tablicę pamiątkową. Inne Synagogi również się nie ostały – wyjątkiem okazała się ta Pod Białym Bocianem. Choć budynek ze względu na ciasne położenie między kamienicami oszczędzono, to nie można tego powiedzieć o jego wnętrzu. Bojówki podarły na strzępy Torę i zniszczyły wszystko, co się dało. W czasie wojny w Synagodze urządzono warsztat samochodowy i skład zagrabionego mienia żydowskiego. Jest i jeszcze ciemniejsza strona historii tego miejsca – żandarmeria organizowała tam miejsca zbiórki Żydów deportowanych do obozów zagłady.

Pogrom wciąż trwał. Esesmani demolowali sklepy i mieszkania Żydów.

Ucieczka

Zaczęły się dni oczekiwania, w przestachu o życie. Aresztowania i deportacje do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Żydów w Breslau było coraz mniej. Wywożono każdego zdolnego do marszu. Gestapo zatrzymywało na ulicach każde-

go „podejrzanego”, a także niektórych Niemców oburzonych sytuacją.

Dalsze prześladowania nie miały. 30 – 20 tysięcy żydowskich mężczyzn z całych Niemiec wywożono do obozów zagłady np. w Treblince. Ci, którzy nie zostali deportowani, uciekali razem z rodzinami za granicę – często do Polski.

Chociaż urzędy niemieckie powypłacały dotkniętym prześladowaniami śmiesznie małe sumy, które miały pokryć koszty naprawy wybitych szyb, to Hermann Göring żądał jeszcze od Żydów 1,2 mld marek w ramach odszkodowania na rzecz Niemiec.

Skutki nocy kryształowej, nazywanej też nocą hańby, były tragiczne. Bojówki zbezczeszczyły wszystkie kirkuty, spaliły ok. 1000 synagog, zamordowano 91 Żydów. Można by jeszcze długo wymieniać.



Pustki

A to był dopiero przerażający początek końca. Bo Breslau, jak i ówczesne Niemcy, zmierzały ku końcowi.

W grudniu tego samego roku zwolniono z kancelarii wszystkich prawników pochodzenia żydowskiego, to samo uczyniono z lekarzami. Żydzi przestali posiadać prawo jazdy, nie mogli przebywać poza obszarem getta. Zakaz, zakaz, zakaz. Czasem emigracja – choć większość niemieckich Żydów czuła się Niemcami, to byli zmuszeni rozstać się z krajem. Już nie mogli w nim mieszkać. Przedostatnim etapem zagłady był przymus noszenia „Gwiazdy Dawida”. Z kolei ostatnim: Holocaust.

Michalina Świącka

HALLOWEEN VS DZIADY

Każdy z nas kojarzy powiedzenie „cukierek albo psikus”. Co roku 31 października zauważamy dzieciaki biegające poprzebierane za najróżniejsze postaci czy potwory. Dekorujemy nasz dom w czarny i pomarańczowy kolor i wycinamy rzeźby w dyni. Jednak niektórzy z nas nie świętują halloween i po prostu zamykają się w domu. Mają nadzieję, że żadne „młode stworki” nie będą poszukiwać cukierków właśnie w ich domu.

Cudze chwalicie, swego nie znacie!

Halloween wywodzi się z tradycji celtyckiej i pewnie większość kojarzy je ze świętem zmarłych. To duży błąd. Poganie i wcześni chrześcijanie upamiętniali zmarłych na początku wiosny. Halloween jest natomiast pożegnaniem lata – podziękowaniem za zbiory, powrotem bliskich do domu – i przywitaniem zimy – czasu zmagania z głodem i brakiem światła słonecznego. Druidzi uważali, że 31 października to dzień, kiedy świat żywych mógł łączyć się ze światem zmarłych. Wszystkie dusze – i te dobre i te złe – mogły przejść do naszego świata. Aby uchronić się od działania złych dusz, ludzie zaczęli przebierać się za potwory.

W kulturze słowiańskiej święta zaduszne obchodzone były 3-4 razy w roku (zależało to od fazy księżyca). W Polsce najważniejsze z nich odbywały się na wiosnę ok. 2 maja oraz z 31.10 na 01.11, czyli w tak zwaną noc zaduszkową. Dziady polegały na „ugoszczeniu” przybywających dusz naszych bliskich. Gotowało się ulubione potrawy zmarłego i przynosiło się je na

grób albo ucztowało się wraz z rodziną. W tę noc zabraniane było wykonywanie czynności, które mogłyby zaszkodzić duszom (np. głośne wstawanie od stołu – mogłoby je wystraszyć, sprzątanie po wieczery – aby nie utrudnić zmarłym spożycie posiłku czy wylewanie wody przez okno – aby nie zmoczyć żadnej z dusz).

że ich dzieci nie świętują Halloween. Za to 95% Polaków obchodzi Dzień Wszystkich Świętych. A więc może ten spór jest tylko sztucznie rozdmuchaną sensacją? Tradycja i zwyczaje są takim wspólnym tworem, że można je nieco zmieniać, zachowując ich najważniejszy sens. Można je dostosować do dzisiejszych czasów.

Adam Mickiewicz w II części „Dziadów”



O tradycyjnym polskim obrzędzie dnia zadusznego pisał nasz wieszcz Adam Mickiewicz w II cz. Dziadów. Na podstawie tego dramatu swój spektakl pt. Widma (do muzyki Stanisława Moniuszki) wyreżyserował dobrze nam znany twórca Paweł Passini.

inaczej opisywał przebieg tego święta. Połączył kulturę białowieską i polską, a także pogańską i katolicką (mówiąc np. o czyśćcu). Kościół nie powinien być przeciwny halloween, skoro jest to tylko powitanie zimy, a przebieranie jest tylko zabawą. Dzisiaj w XXI wieku nikt nawet nie zastanawia się nad sensem tych zabaw. Osoby przebierające się za Spidermana albo Oreo

Świątować-nie świątować?

Ostatnio rozgorzała dyskusja, czy warto świątować obce kulturowo halloween czy rodzime dziady, zaduszki. Tak naprawdę oba święta mają korzenie pogańskie, to znaczy są niezgodne z nauką Kościoła. Prawie 80% rodziców deklaruje,

na pewno nie chcą w ten sposób odstrążyć demony. Cóż, może nie warto demonizować tego zwyczaju. Z drugiej strony, jeśli coś jest aż tak bardzo odległe od naszego kręgu kulturowego, może nie warto na siłę przeszczepiać na nasz grunt?

ŚMIERĆ W KRAJU KWITNĄCEJ WIŚNI

Samobójstwa. Problem na całym świecie. Polska według World Health Organization (2015) jest na 15. miejscu (na 100 tysięcy osób popełnia samobójstwo 17), ale już na drugim w Europie! U nas jednak nie wywodzi się to z tradycji. Tymczasem w Japonii istnieje Las Aokigahara, od tysięcy lat uznawany za nawiedzony i od pewnego czasu „polecany” jako miejsce, gdzie w spokoju można zastanowić się, czy odebrać swe życie...

Stereotypy obalone

Jednym z najpopularniejszych mitów o Kraju Kwitnącej Wiśni jest stwierdzenie, że Japonia ma największą ilość samobójstw. Tymczasem wg World Health Organization Japonia jest na 26. miejscu na świecie pod względem liczby samobójstw: na 100 tysięcy mieszkańców w roku 2015 zabiło się około 15 osób, czyli o dwie mniej niż w Polsce! Statystyczna ilość samobójstw w Japonii stale też maleje. Dla porównania w roku 2007 były to 24 osoby, a w roku 2013 już tylko 21 osób odebrało sobie życie (na 100 tysięcy).

Honorowa śmierć - seppuku

Ludzie w Japonii odbierają sobie życie nie tylko z powodu wyczerpania pracą, stresu związanego ze sprawami awansu i zakresu obowiązków. W Kraju Kwitnącej Wiśni od setek lat istnieje seppuku: japońskie rytualne samobójstwo polegające na rozcięciu mieczem

lub sztyletem brzucha. Według tradycji japońskiej miało być to dowodem niewinności samobójcy i okazania szczerości jego zamiarów.

Statystyki udostępnione przez WHO (World Health Organization) wskazują, że największy odsetek samobójców stanowią mężczyźni pomiędzy 40. a 60. rokiem życia. Wielu z nich zabija się ze względów kulturowych, po to, aby „dalej nie kłaść dobrego imienia rodziny” lub aby nie obciążać bliskich. Najczęściej do takiego typu zgonu dochodzi w lesie Aokigahara.



Potępiony Las Aokigahara

W latach 90-tych wydano „poradnik samobójcy”, który był i nadal jest kontrowersyjną książką w Japonii. Dzięki jego „poradom” sławny stał się znajdujący się na terenie Parku Narodowego Fudzi-Hakone-Izu las Aokigahara (青木ヶ原), potocznie zwany lasem samobójców. Jest pełen sznurków prowadzących do potencjalnych zmarłych. Osoby wchodzące do tego lasu często nie są pewne swojej decyzji, więc zostawiają liny, aby w razie zmiany decyzji wrócić na ścieżkę. Jednak często zostają w jego gąszczu. Na początku lasu znajduje się tablica z napisem: „Życie to cenny dar, jaki otrzymaliśmy od naszych rodziców. Pomyślcie jeszcze raz o rodzicach, rodzeństwie i dzieciach. Nie martwcie się samotnie, tylko skontaktujcie się z nami”. Tablicę postawiono, aby dać potencjalnym samobójcom do myślenia.

Liczby osób umierających w lesie nie da się dokładnie oszacować- czasami z powodu braku zgłoszenia rodziny, innym razem z powodu braku zwłok. Zwierzęta zamieszkujące las w ciągu kilku dni zjadają ciało, a jedyną pamiątką pozostają kości...



IBI PATRIA, UBI BENE

Listopad kojarzy się z ideą patriotyzmu. W poprzednim roku pisałem już o tym, czym jest (a raczej czym nie jest) patriotyzm. Teraz czas zastanowić się nad jego źródłami. Wbrew temu, co może nam się wydawać, nie jest on ideą aż tak starodawną. Od początku też można jego istotę utożsamić z myślą: „Tam Ojczyzna, gdzie jest dobrze”.

Gdy nie było patri/ojczyzny...

Cofnijmy się do najdawniejszych czasów: kiedy nie było państw, Polaków ani chrześcijaństwa. Ciężko wyobrazić sobie miłość do Ojczyzny na terenach zamieszkiwanych przez wielką mieszankę ludów – Celtów, Sarmatów, Bałtów, ludy nieznanego pochodzenia i przede wszystkim ogromną ilość różnych ludów germańskich. Nie było wtedy krajów takich, jakie znamy teraz. Ludy czasem formowały się w jakieś federacje, czasem silniejsze plemiona władały sporymi obszarami, ale zazwyczaj było to krótkotrwałe. Nasi przodkowie musieli odczuwać przywiązanie do rodziny, plemienia, wsi czy innej społeczności. Początków istoty patriotyzmu nie znajdziemy więc w starożytności. Ani tym bardziej w średniowieczu...

Czasy Wandy, która nie chciała Niemca

Po kilku wiekach od pojawienia się w Polsce pierwszych Słowian, zaczęli oni łączyć się w większe plemiona. Nieustannie walczyli ze sobą. Według książkowej wersji historii te starcia zakończył Mieszko I, który zjednoczył Polskę (swoją drogą można zadać tutaj pytanie, dlaczego podbijanie sąsiadów przez Niemców to „najazd”, a podboje Mieszka to „zjednoczenie”, ale to już temat na całkiem inny wywód). Nie jest to jednak w pełni prawdziwe, bowiem wystarczy przeanalizować wydarzenia po utracie władzy w Polsce przez Mieszka II Lambert (rok 1031). Władzę przejął dziś zapomniany i słabo znany Bezprym, a w kraju rozpoczął się trudny okres walk domowych. Ciężko mówić więc o patriotyzmie pierwszych Polaków. Sytuacja pogorszyła się w czasie rozbicia dzielnicowego - to okres jednej wielkiej wojny domowej. Polacy mówili jednym językiem, mieli tę samą religię i kulturę, ale nie łączyła ich miłość do ojczyzny. Większość książąt wołała współpracować z



Wojownicy polscy z rozbicia dzielnicowego

Niemcami czy Rusinami niż z Polakami z innych dzielnic. W średniowieczu nie było jeszcze poczucia wspólnej tożsamości narodowej. Nie było Wand, które odrzucały Niemca, bo był Niemcem. Obowiązki wobec państwa kojarzyły się wszystkim głównie z przeraźliwymi podatkami i obowiązkiem walki i śmierci za jakiegoś siedzącego na odległym o setki kilometrów tronie króla.

Polegać jak na Zawiszy

Szczególnie ciekawe jest życie Zawiszy Czarnego. Ten słynny polski rycerz uważany jest za wzór cnót: bohatera, który walczył i zginął za Polskę. Jednak tak naprawdę był też zwykłym najemnikiem, który śmierć poniósł daleko od Polski, w zupełnie innych okolicznościach niż mogłoby nam się zdawać. Czarny rycerz walczył głównie dla śmiertelnego wroga swojego królestwa – Zygmunta Luksemburskiego, najpotężniejszego sojusznika Krzyżaków. Zawisza pomagał Luksemburczykowi m.in. w walce z Husytami, których przywódcą był Jan Žižka walczący wcześniej m.in. pod Grunwaldem po stronie polskiej, czyli ramię w ramię z Zawiszą! Wszyscy znaczniejsi rycerze walczyli na różnych europejskich frontach za pieniądze. Można to porównać do dzisiejszych piłkarzy, dla których speł-

nieniem marzeń jest gra w najlepszych zagranicznych klubach, a w reprezentacji tylko po otrzymaniu wici o powołaniu. Faktem jednak jest, że poleganie na kimś jak na Zawiszy sześćset lat temu miało całkiem inne znaczenie.

Rzeczpospolita egoistów

Czasy Rzeczypospolitej szlacheckiej to epoka upadku idei patriotyzmu. Każdy dbał tylko o siebie i swoje przywileje. Patriotyzm nie miał znaczenia takiego jak dziś, bo nie było państw narodowych, a granice zmieniały się bez przerwy. W czasach oświecenia powstała jednak idea osobistej więzi państwa i obywatela: współczesny patriotyzm. Choć ojczyzna (ojcowizność, oiczyzna, oiczowyzność) w polskich słownikach pojawiła się już w XVI wieku, to do końca wieku XVIII stanowił czysto teoretyczny twór. Stanowczo zbyt długo.

Trudne początki współczesnego patriotyzmu

W państwach Europy Zachodniej patriotyzm początkowo został bardzo negatywnie przyjęty. Uważano go za postawę radykalną, co ciekawe najbardziej krytykowali nową ideę konserwatyści, co dziś wydaje się nielogiczne. W drugiej połowie XVIII wieku sytuacja jednak się zmieniła, a miłość do ojczyzny stała się „modna” i pożądana jako najwyższa forma życia obywatelskiego. Pogląd ten upowszechnił się pod koniec panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego, a zatem w ostatnich latach Rzeczypospolitej. Powstało Stronnictwo Patriotyczne, miłości i szacunku do Ojczyzny zaczęto nauczać w lepszych szkołach. Niestety, było już za późno. Polska upadła, a świadomość nowych wartości pokolenie zaczęło się uaktywniać dopiero w czasach Napoleona. Nawet powstanie kościuszkowskie spotkało się ze zbyt małym odze-

wem ze strony społeczeństwa. Oczywiście kosynierzy walczyli o wolność. Niestety, raczej o wolność od chciwych szlachciców...

Za wolność naszą i waszą

W czasach cesarza Bonapartego Polacy często i chętnie bili się za swój kraj i odzyskanie niepodległości. Niestety, Napo-

leon nie przykładł do sprawy Polski większej uwagi, a po jego upadku utworzono niewielkie i uzależnione od Rosji Królestwo Polskie. Nadzieje odżyły dopiero w czasach I wojny światowej. Polacy bili się wówczas po dwóch stronach, przez co często musieli walczyć ze swoimi rodakami. Jednak dzięki ich determinacji i poświęceniu powstała i przetrwała

wiele lat nowa Rzeczpospolita. II wojna światowa to kolejny etap walki o wolność. Na pewno jednak w porównaniu z czasami Rzeczypospolitej szlacheckiej doszło do wielkiej zmiany w mentalności Polaków. Tak jak zawsze ludzie zazwyczaj dbali głównie o siebie, wiedzieli jednak, że wolność i Ojczyzna jest bardzo ważna.

Patriotyzm jutra

W dzisiejszych czasach „patriotyzm” stał się bardzo modny. Niestety, na całym świecie do władzy dochodzą populści promujący nacjonalistyczną postawę. Trzeba jednak pamiętać, że miłość do Ojczyzny to nie nienawiść do innych. Prawdziwy patriota uznaje suwerenność innych narodów, nie uważa się za kogoś lepszego. Patriotyzm nie jest bowiem równy nacjonalizmowi, a posiadanie koszulki z napisem „Śmierć wrogom Ojczyzny” oraz kija bejsbolowego ze znakiem Polski Walczącej nie ma z miłością do Ojczyzny nic wspólnego.



https://www.polskieradio.pl/7/179/artykuly/136333, Kalendarium - Wielki-
Wojny Ocena: 5,0 (1 opinia)

Justyna Jaśkiewicz

CZY NAUKA IDZIE W PARZE Z ETYKĄ?

Mówi się, że porażka jest sierotą, a sukces zawsze ma wielu ojców. A jak to jest w przypadku tych naukowych sukcesów, odkryć? Czy za wielkimi, przełomowymi odkryciami, wynalazkami stoi wybitna jednostka, czy też zespołowa praca wielu ludzi? Wydaje się, że tak zgranych duetów naukowo-badawczych, jak ten tworzony przez Weigla i Mosinga, w świecie nauki ze świecą szukać...

Chlubny wyjątek...

Nauka i naukowcy są jak państwo i społeczeństwo, które niestety nadal opiera się na systemie feudalnym, jakbyśmy żyli w średniowieczu. Często cała sława spływa na szefów zespołów, a ich współpracownicy odchodzą w niepamięć. Może się wydawać, że podobnie było w przypadku Henryka Mosinga, współpracownika oraz prawej ręki Weigla podczas ich pracy nad szczepionką przeciw tyfusowi. Weigla zapamiętał cały świat, a Mosing mimo swoich zasług nie pozostał w pamięci ludzi. Być może wynika to z różnicy wieku, jaka dzieliła obu naukowców: Weigl był uznanym lwowskim profesorem, gdy do swego zespołu przyjmował młodego Mosinga. Jednak w pracy uzupełniali się idealnie, mimo wielu różnic osobowości



Culture.pl

(porywczy Weigl i emanujący spokojem Mosing), podejścia do ludzi (w tym tan-demie to właśnie Mosig odpoiwadał za

organizację zespołu, innych współpraco-wowników). Dlatego oprócz zależności służbowych połączyła ich wielka przyjaźń: to Weigl przypominał już w powojennej Polsce o naukowych odkryciach swego ucznia (prezentując je na sympozjum w Krakowie) i to Mosing jedyny raz odwiedził po wojnie swą ukochaną ojczyznę, by wygłosić mowę nad grobem swojego przyjaciela-mistrza. Jednak faktem pozostaje, że to profesor Weigl został zapamiętany jako lekarz – odkrywca szczepionki na tyfus.

Naukowy system feudalny

Wracając do systemu feudalnego. Co to dokładnie oznacza? Wydaje się, że szczególnie we współczesnych zespołach naukowo-badawczych to na szefów zespo-

łów spływa cała sława. Po drugie, często faktyczne zasługi członków zespołów są pomijane bądź jawnie lub skrycie wykonywane przez ich pracę. I jak zawsze, kiedy w grę wchodzi sława i pieniądze, pojawiają się nieczyste zagrania i niemoralne postępowanie. Cóż, granty badawcze pociągają za sobą rywalizację, relacje oparte tylko na korzyściach ekonomicznych. Nie ma tu mowy o przyjacielskich relacjach partnerskich czy też mistrz-uczeń (a przecież takie właśnie łączyły Mosinga i Weigla). We współczesnej nauce mało jest miejsca na etykę, zasady moralne, umiowanie prawdy: rzeczy tak bliskie lwowskiemu naukowcom. Za to o niezdrowej rywalizacji, „podkopywaniu” autorytetu, nieczystych zagraniach wśród ludzi współczesnej nauki nikt nie chce oficjalnie mówić. To tabu, tajemnica poliszynela...

Niedocenieni, nieobecni

Warto podać parę przykładów. Maria Skłodowska-Curie pierwszą Nagrodę Nobla dostała wraz ze swoim mężem Piotrem w związku z jej (jak to wtedy określano) tylko czysto „techniczną” rolę w odkryciu radu. Na wręczeniu nagrody podkreślano zasługi Piotra, a nie jej. Dopiero drugiego Nobla za odkrycie polonu dostała już jako uznany naukowiec a nie jako kobieta-pomocnik. Kolejnym przykładem jest nagroda Nobla dla Francis Cricka wraz z Jamesem Watsonem – za opracowanie (odkrycie) modelu cząsteczki DNA. W rzeczywistości swoje wnioski, za które dostali Nobla, oparli na badaniach i wynikach badań fizykochemiczki Rosalindy Franklin, która otrzymała pierwsze obrazy struktury DNA na podstawie dyfrakcji promieni Rentgena i nie została uhonorowana nagrodą. Można mnożyć przykłady naukowców, którzy tak naprawdę osiągnęli coś wielkiego, dokonali wspaniałych odkryć, ale nikt o nich nie pamięta. Za to nazwiska ich szefów, współpracowników lub nawet konkurentów kradnących wyniki prac zostały zapamiętane ze względu na nagrody, które otrzymali za przywłaszczone wyniki badań. Cóż, widocznie nierzadkie są takie nierówne pojedynki, których wynik z góry może wydawać się przesądzony. Tak było w przypadku Edisona, bezwzględniego przedsiębiorcy i Tesli – geniusza i wizjonera. Nikola Tesla to wielki umysł, człowiek tworzący idee wybiegające czę-

ściowo poza czasy, w których żył. Jego odwieczny rywal – Edison – niekoniecznie musiał być wynalazcą. Przecież patenty sygnowane jego nazwiskiem powstawały zazwyczaj w laboratorium, gdzie pracował dla niego i na jego sławę sztab naukowców. Kogo jednak bardziej znamy dziś jako tego genialnego wynalazcę?

Można inaczej!

Na szczęście nie zawsze los jest tak niesprawiedliwy wobec naukowców. Przykładem historii z pozytywnym zakończeniem jest historia znanej nam wszystkim teorii dziedziczenia Mendla. Jego prace na ten temat zostały odłożone do szufla-



Twórca mutacjonizmu H. de Vries uznał, że to Mendel był twórcą teorii dziedziczenia. To przykład rzadkiej uczciwości w świecie nauki

<https://montessori-nw.org>

dy na długi czas. Dopiero po upływie lat Hugo de Vries potwierdził i sformułował prawa dziedziczenia. Powołał się on jednak na wcześniejsze badania Mendla i przyznał mu pierwszeństwo w ogłoszeniu tej teorii jako własnej. Nazwisko Vriesa nie jest dzisiaj ogólnie znane, a za ojca genetyki uważa się właśnie Mendla. To dobry przykład uczciwości i przestrzegania zasad moralnych w nauce, zgodnie z mottem Ludwika Hirszfelda: „**Nauka może być jedynie rzeczniczką prawdy. Albo nie będzie jej wcale.**”

Nauka=etyka?

Dlatego warto pamiętać, że za większością nagród Nobla i sukcesów naukowych stoi wielu ludzi. Należy pamiętać o takich ludziach, jak Henryk Mosing, ponieważ bez nich nie było by wielkich odkryć. Pamiętajmy o szefach zespołów badawczych, ale także o ich współpracownikach. Weigel i Mosing razem opracowali i produkowali na „masową” skalę szczepionkę przeciwko tyfusowi. To proces

bardzo skomplikowany, ponieważ trzeba było ręcznie zakazić każdą z wszy, z których następnie otrzymywano szczepionkę. Henryk Mosing pracował od początku w kierowany przez Weigla zespole: na początku jako wolontariusz, a następnie jako asystent. I to właśnie Mosing stworzył na zlecenie Państwowego Zakładu Higieny ruchomą pracownię. Można ją było postawić najbliżej ognisk epidemii, czyli w małych chatkach, gdzie przez to, że nikt nie dbało o higienę, wszy najbardziej się rozwijały i przenosiły zabójczą chorobę. Działalność w tej ruchomej pracowni stała się dla niego bazą pod jego pracę doktorską. Po rozpoczęciu wojny Weigel i Mosing pracowali wciąż nad szczepionką. Produkowali ją na potrzeby wojska. Obaj anukowcy pamiętali jednak nie tylko o czysto teoretycznym aspekcie swych badań: nadmiar produkcji rozdawali najbiedniejszym. Co więcej, to właśnie Henryk Mosing pojechał nawet do getta warszawskiego, by tam dostarczyć ratującą życie szczepionkę. Dla niego liczył się CZŁOWIEK. Nauka była tylko pretekstem do tego, by móc drugiemu człowiekowi pomóc. Nie bał się narażać swojego życia: współpraca z zarażoną tyfusem biedotą, przemycanie z narażeniem życia do getta szczepionek czy też ratowanie lwowskich Żydów przez przydzielanie im statusu żywcili wszy. Etyka i godność człowieka, wierność zasadom moralnym dla tego człowiek były ważniejsze niż naukowa sława.

Ktoś z uczniów profesora Mosinga powiedział: „...**Ten człowiek jest jak góra lodowa — tak mało o nim wiemy, znając tylko drobną część jego działalności — reszta jest niewidoczna.**” To prawda! Nadal pozostaje pytanie, dlaczego świat nie usłyszał o Mosingu? Dlaczego niemal w każdym mieście jest szpital lub ulica im. Rudolfa Weigla, natomiast o jego uczniu nikt nie wie? A przecież na tę pamięć w pełni zasłużył: i jako naukowiec, ale przede wszystkim jako człowiek. Na koniec warto przytoczyć słowa profesora Mosinga, które w swoich wspomnieniach o nim przytoczył Władysław Szczepański: „**Współczesny naukowiec dużo wie, ale mało rozumie. Ciekawe, że dziś przy tak wysoko rozwiniętej technice coraz mniejszą rolę odgrywa myślenie.**” Prorocze słowa, niestety...

Małgorzata Wieczorkiewicz

ŻYCIE ZMARNOWAŁ, KTO NIKOMU NIE POMÓGŁ: HENRYK MOSING I JEGO ŻYCIE

W jego rodzinie profesja lekarska przechodziła z ojca na syna od pokoleń. Dla Henryka Mosinga nie była to jednak tylko tradycja czy obowiązek. Został medykiem, by pomagać ludziom. A etos naukowca był dla niego jednoznaczny z byciem prawym człowiekiem.



<http://www.lwow.home.pl/weigl/>

Żyć dla innych...

Wielu ludzi zawdzięcza mu swoje życie. Wielu pomógł odnaleźć życiową ścieżkę. Doktor książdź, bo tak o Henryku Mosingu mówiono, poświęcił się całym sobą medycynie i drugiemu człowiekowi. Mając 18 lat, w 1928 roku, rozpoczął studia na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza w rodzinnym Lwowie. Od początku trapił go temat tyfusu plamistego – okropnej choroby, nawiedzającej Europę od XI wieku, potrafiącej zabić miliony istnień ludzkich. Zaangażowanie Mosinga w rozwiązanie tego problemu zaowocowało późniejszą współpracą z Rudolfem Weiglem.

Rudolf Weigl również trudnił się poznawaniem metod zwalczania tej choroby. Jako pierwszy na świecie wynalazł na nią skuteczną szczepionkę. Później, gdy został powołany na stanowisko profesora biologii na lwowskim uniwersytecie, utworzył w 1920 roku instytut badań nad tyfusem plamistym.

...ratować potrzebujących...

Wraz z wybuchem II wojny światowej laboratorium Weigla i Mosinga zyskało

duże zainteresowanie Sowietów. Zamierzali oni przekształcić eksperymentalne naukowe badania w działalność ogromnego epidemiologicznego przedsiębiorstwa. Wiedzieli bowiem, że tam, gdzie wojna, tam również tyfus. Kiedy hitlerowcy zajęli Lwów w 1941 roku, zamordowali niemal całą tamtejszą inteligen-



Dwaj wielcy naukowcy:
Rudolf Weigl i Henryk Mosing

cję. To zmusiło Weigla do prowadzenia dalszych badań na rzecz armii niemieckiej. Mimo to, sam uczony i jego współ-

pracownicy byli nietykalni – w końcu to oni znali się na tyfusie lepiej niż ktokolwiek inny. W ramach swoich badań ochronili wielu polskich naukowców, twórców – na przykład Zbigniewa Herberta czy profesorów sławnej lwowskiej szkoły matematycznej. Pytanie – jak?

Program badawczy opierał się na karmieniu zainfekowanych tyfusem wszy na zaszczepionych osobach. Mało kto odważyłby się na coś takiego zdecydować – dlatego Weigl oszukał hitlerowców.

Wszy, które żywiły się na karmicielach, nie były ani trochę zainfekowane tyfusem. A karmicielami byli członkowie inteligencji polskiej, którzy w ten sposób przetrwali wojnę. Ponadto szczepionkę wykorzystywano do ocalenia tysięcy Żydów. Getta były ponoć najlepszym miejscem do eksperymentów – tam właśnie Polacy przywozili lekarstwa. Przy okazji jeszcze oszukiwali okupanta, gdyż zostawiali znacznie więcej szczepionki w butelkach, gdzie rzekomo przechowywano herbatę.

... i pozostać Polakiem ...

W 1944 roku uciekający Niemcy zabrali ze sobą profesora Weigla, który powierzył opiekę nad instytutem badawczym Henrykowi Mosingowi. Kiedy do Lwowa wkroczyli ponownie Sowieci, biolog nie zamierzał się stamtąd ruszać. To było jego rodzinne miasto, teraz jego laboratorium, którym obiecał się zająć – nie mógł tego tak zostawić. Mimo to został usunięty ze stanowiska dyrektora. Jego miejsce zajął rosyjski lekarz. Nawet gdy Henryka Mosinga odznaczono za walkę z tyfusem, to pominięto jego przedwojenne osiągnięcia. Mimo to dalej działał – publikował teksty o durze w rosyjskich gazetach, prowadził badania związane z wszami, będącymi nosicielami choroby. Do karmienia wszy zatrudnił najbiedniejszych, niemających za co żyć. W 1956 roku napisał pracę o gorączce okopowej,

dzięki której otrzymał habilitację. Niestety, rok później wygłaszał mowę pożegnalną na pogrzebie swojego mistrza – Rudolfa Weigla.

Henryk Mosing poświęcił się nie tylko nauce, ale i też ludziom. Opiekował się starszymi, samotnymi, a także zagubionymi w powojennej rzeczywistości Polakami – żyjącymi z dala od ojczyzny. Jak relacjonowali znający go, był bardzo wrażliwym lekarzem, zupełnie innym od wielu dzisiejszych. Choć niechętnie mówił o sobie i był powściągliwy w wypowiedziach, to zawsze umiał wysłuchać drugiego człowieka i... reagował na krzywdę innych. Umiał znaleźć wspólny język z młodzieżą, nigdy nikogo pochopnie nie oceniał. Dla dobra innych był zdolny nawet do największych wyrzeczeń.

...a przede wszystkim

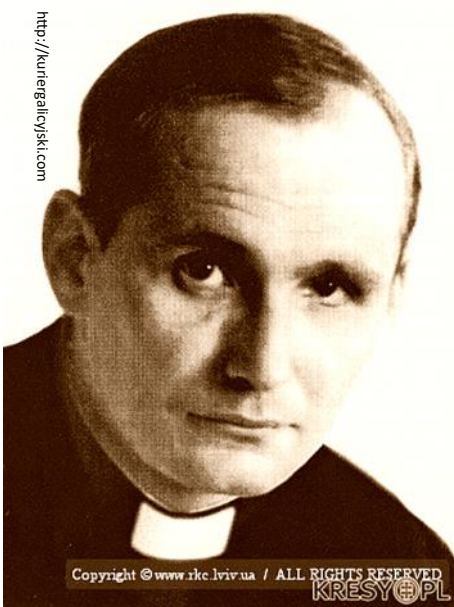
CZŁOWIEKIEM

Mieszkając w ZSRR, nie podporządkował się komunistycznemu reżimowi i był do końca polskim patriotą. W 1961 roku



W 1961 roku Prymas Tysiąclecia kardynał Stefan Wyszyński udziela święceń kapłańskich Henrykowi Mosingowi. Odtąd Henryk Mosing przyjmuje imię ojciec Paweł.

otrzymał od kardynała Stefana Wyszyńskiego święcenia kapłańskie, podczas których przyjął imię Paweł. Oficjalnym powodem przyjazdu do Polski w 1961 roku była chęć odwiedzenia chorej siostry w Warszawie. Towarzyszył mu usynowiony chłopiec Władysław Łukasiewicz-Mosing, którego profesor wykształcił później na lekarza. O tej części osobowości Mosinga Rosjanie nigdy się nie



dowiedzieli – były to bowiem czasy, gdy dążyło się do uczynienia społeczeństwa ateistycznym. Przez wiele lat działał jako ksiądz, przez władze sowieckie nie zarejestrowany – nielegalnie, docierając do najdalszych zakątków ZSRR. Nie należy zapominać, w jakich warunkach żyło się w kraju, gdzie wszystko było pod kontrolą tajnej policji, a śledzenie i szpiclowanie było powszechne. Były to lata ustawicznej walki z religią i prześladowań Kościoła, szczególnie Kościoła katolickiego. Mosingowi w każdej chwili groziły łagry, śmierć...

Jednak ci, którzy znali go bliżej, wyrażali się o nim z wielkim. W swoim wspomnieniu o profesorze Mosingu Władysław Szczepański pisał, że cieszył się on dużym autorytetem i uznaniem w różnych kręgach i wśród różnych narodowości. Rosjanie mówili o Nim prawiednik, czyli człowiek prawy i świętobliwy, który żyje w zgodzie z zasadami moralnymi. Szczepański przytoczył m.in.. wypowiedź profesora medycyny i pisarza Borysa Ugriumowa z Kijowa, który napisał o prof. H. Mosingu w artykule „Historia jednej naukowej dyskusji”: „Mosing kieruje się sumieniem, miłością do ludzi, wielkim sercem”, a w innym miejscu tego samego artykułu: „...Biorąc pod uwagę skalę zainteresowań i głębię wiedzy, można Henryka Mosinga nazwać człowiekiem stulecia.”

... oto cele życia!

Jako ksiądz skupił się, na służeniu, pomaganiu ludziom jako lekarz i jako kapłan. Korzystając również z możliwości służbowych wyjazdów na bezkresne tereny sowieckiego imperium – od Lwowa, Wołynia, Białorusi i Mołdawii, po Kaukaz, Chabarowski Kraj i Syberię – przeważnie, kiedy pojawiały się sygnały o zachorowaniach na tyfus, lecz także jako konsultant naukowy czy uczestnik sympozjum, spotykał ludzi, którzy od lat nie mieli możliwości kontaktowania się z księdzem katolickim. W ukryciu udzielał im sakramentów świętych, ewangelizował, po domach odprawiał msze. Wiedział, że dla tych w nieludzkim świecie ludzi ważny jest lekarz ciała, ale może bardziej lekarz duszy. Już jako kapłan w Krakowie spotkał się też z papieżem: Karolem



Po spotkaniu w Krakowie z kardynałem Karolem Wojtyłą ksiądz Mosing stworzył we Lwowie ukrytą wspólnotę pw. Św. Wawrzyńca: zakonspirowane seminarium duchowne.

Wojtyłą. Kardynał Wojtyła zachęcił go wówczas, by w tych warunkach, z zachowaniem ostrożności, próbował przygotować młodych ludzi do dawania szczególnego świadectwa wiary, formować ich jako przyszłych ludzi Kościoła. To dało początek ukrytej „Wspólnocie pod wezwaniem św. Wawrzyńca”, która skupiała wokół niego młodych chłopców chcących służyć Bogu – formy zakonspirowanego seminarium duchownego. Ponieważ istniała obawa, że w Instytucie władze wpadną na jego trop, ks. Henryk zakupił mieszkanie w domu przy dawnej ul. Ko-



W powojennym sowieckim komunistycznym Lwowie dr księdzu Mosingowi za jego działalność groziły represje. Dlatego zarówno jako kapłan, jak i wychowawca młodzieży działał w konspiracji.

chanowskiego 82 (dziś K. Lewickiego) we Lwowie, gdzie mógł przyjmować chorych i w miarę bezpiecznie pracować z młodzieżą. Kilku z jego wychowanków zostało wyświęconych na księży, niektórzy, jak sufragan lwowski ks. Leon Mały, w tajemnicy, bez kończenia studiów seminaryjnych. Nadal przy tym pracował jako lekarz. Dzięki swojej determinacji w 1963 roku doprowadził do zlikwidowania tyfusu na Ukrainie. Dziesięć lat później postępująca utrata wzroku zmusiła go do przejścia na emeryturę. W kolejnych latach cierpienia nie omijały Henryka-duchownego. W 1984 został częściowo sparaliżowany na skutek wylewu – od tego momentu nie opuszczał łóżka. Zmarł piętnaście lat później, odmawiając różaniec...

Henryk Mosing z pewnością przeżył swoje życie w zgodzie ze swoją dewizą: nie zmarnował życia, bo pomagał. Każdemu. Lekarz, duchowny, po prostu człowiek...



Bibliografia:

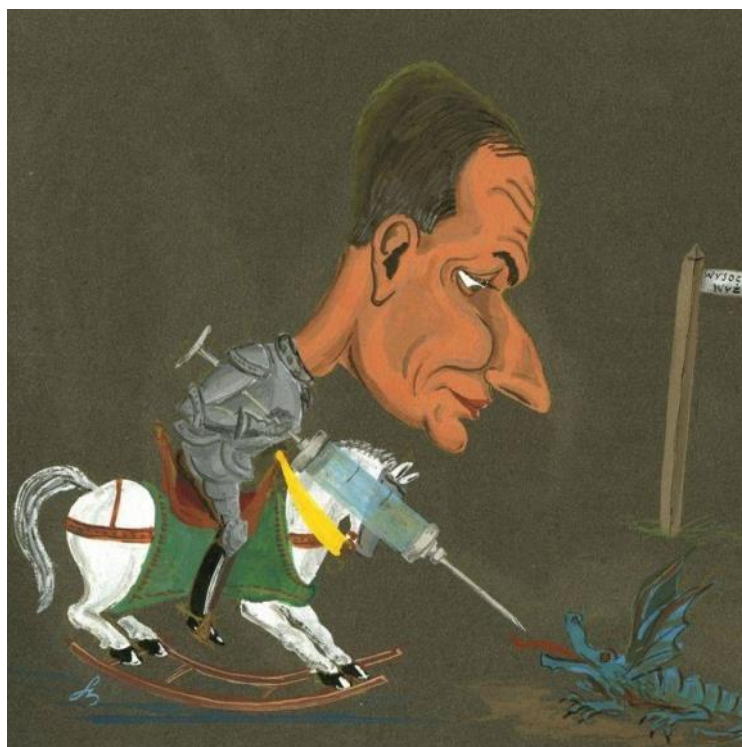
Wł. Szczepański, *Całe życie w służbie ludziom* (wspomnienie o ks. . H. Mosingu, <http://www.lwow.home.pl/rocznik/mosing.html>);
Strony internetowe:
<http://e-civitas.pl/sluga-ewangelii/>;
<http://mosing.pl/>



Ks. Dr Henryk Mosing spoczął na Cmentarzu Łyczakowskim w swym rodzinnym Lwowie, który był dla niego małą ojczyzną. Niestety, przez większą część swego dorosłego życia przyszło mu żyć poza jego wielką ojczyzną: Polską. Mimo to, do końca pozostał polskim patriotą.
Patriotą poza ojczyzną

„...Biorąc pod uwagę skalę zainteresowań i głębię wiedzy, można Henryka Mosinga nazwać człowiekiem stulecia.”

(Borys Ugriumow)



Jerzy Różycki

CZERWONY PAŹDZIERNIK

W tym roku przypadła 100 rocznica jednego z kluczowych wydarzeń XX wieku. Rewolucja październikowa, bo o niej mowa, była kamieniem milowym w historii Rosji oraz świata. Jej skutki oraz dziedzictwo są zauważalne aż do dziś.



Początek 1917 roku. Wielka Wojna trwa już od 3 lat. Carska Rosja od blisko 3 lat jest w odwrocie. Przegrywa na całej linii frontu, gdzie siły niemiecko-austriackie wdzierają się na tereny rosyjskie. Armia ponosi bardzo duże straty. Morale armii oraz opinii społecznej spada z każdą przegraną bitwą. Cały wysiłek gospodarczy jest przekazywany na działania wojenne. Tabor kolejowy są kierowane na front z zaopatrzeniem. Fabryki produkują broń oraz amunicję. Car Mikołaj skupia całą uwagę na zmaganiach wojennych. Przestaje dostrzegać problemy społeczeństwa. A są one bardzo poważne. Carska Rosja ciągle funkcjonuje w anachronicznej strukturze feudalnej. Dodatkowo wysiłek wojenny pochłania środki transportowe potrzebne do dostarczania żywności do miast. W metropoliach takich jak Petersburg panuje plaga głodu. 23 lutego (8 marca według kalendarza gregoriańskiego) 1917 wybuchają tam strajki głodujących mieszkańców. Podburzani przez skrajnie lewicowych działaczy do rozruchów dołączają robotnicy. Policja państwowa nie jest w stanie stłumić zamieszek. Początkowo pomaga jej wojsko, które później przechodzi na stronę protestujących. Dochodzi do kilku krwawych masakr, które jednak nie uspokoją tłumu. Demolowane są budynki państwowej administracji, policji oraz w końcu symbol władzy carskiej: Pałac Zimowy. 27 lutego (12 marca) rewolucjoniści powołują Ko-

mitet Tymczasowy złożony głównie z umiarkowanych stronnictw politycznych. W opozycji do nich 28 lutego (13 marca) skrajnie lewicowe ugrupowania (bolszewicy, mieniszewicy itp.) tworzą Piotrogrodzką Radą Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. De facto władza zostaje przejęta przez Komitet Tymczasowy, jednak w rzeczywistości tworzy się chory system dwuwładzy w Rosji. 2 marca (15 marca) car uświadamia sobie swoje położenie i abdykuje. W porozumieniu Komitetu Tymczasowego i Piotrogrodzkiej Rady Delegatów powołany został Rząd Tymczasowy. Miał pełnić obowiązki do zwołania się Wszechrosyjskiego Zgromadzenia Ustawodawczego – konstytuanty Rosji. Rząd Tymczasowy już od pierwszych dni swojego istnienia jest ostro krytykowany. Pomimo obietnic nie wycofał się z wojny i nie przeprowadził doraźnych reform. Gdy Niemcy uświadomili sobie, że Rząd Tymczasowy nie zamierza przerwać walki, niemiecki wywiad wysłał do Rosji emigracyjnego działacza bolszewickiego: Włodzimierza Lenina. W kwietniu przybywa on do Petersburga. Razem ze swoimi najbliższymi współpracownikami: Lwem Trockim oraz Józefem Stalinem ogłaszają tzw. tezy kwietniowe, czyli program polityczny bolszewików. Głównymi postulatami jest wywołanie jak najszybszej rewolucji socjalistycznej i obalenie burżuazyjnego Rządu Tymczasowego. Jednak na razie bolszewicy są uważani za niegroźnych

szaleńców. W lipcu nowym premierem zostaje Aleksander Kiereński. Ma on poprawić reputację Rządu oraz opanować chaos polityczny w kraju. We wrześniu dochodzi do nieudanego puczu wojskowego w Petersburgu. Zostaje on stłumiony m.in. dzięki bolszewikom, którzy zyskują na popularności kosztem słabnącego Rządu Tymczasowego. W akcie desperacji Kiereński ujawnił dowody na współpracę Lenina z Niemcami i nakazał jego aresztowanie. Ścigany Włodzimierz zbiegł do Finlandii. Główną postacią został Lew Trocki, który ciągle podtrzymywał paraliżujący działania rządu system dwuwładzy. Nowe obietnice bolszewików zyskiwały aprobatę żołnierzy, robotników oraz chłopów. 20 października (2 listopada) do stolicy powrócił Lenin. 23 października (5 listopada) na obradach Komitetu Centralnego bolszewików zapadła decyzja o konfrontacji zbrojnej z Rządem Tymczasowym. Rozpoczęły się przygotowywania do rewolty. W nocy z 24/25 października (6/7 listopada) bolszewicy uderzyli na Pałac Zimowy, który był siedzibą Rządu. Aresztowano większość ministrów, ale Kiereńskiemu udało się uniknąć zatrzymania. W wyniku przewrotu obalono rząd i jeszcze 25 października ustanowiono Radę Komisarzy Ludowych, na której czele stanął Lenin. Bolszewicy szybko przerwali działania wojenne na froncie, podpisali z Niemcami traktat pokojowy. Jednak Rosja jeszcze długo nie miała zaznać spokoju. Przeciwnicy rządu bolszewików doprowadzili do wojny domowej, która na 4 lata pogłężyła kraj w chaosie oraz krwawej bratobójczej wojnie. Po dewastujących starciach nadszedł czas czerwonego terroru oraz widmo nowego systemu totalitarnego, który zawładnął Rosją na blisko 70 lat.

Razer wypuszcza własny telefon

Niedawno Razer, firma głównie zajmująca się produkcją akcesoriów gamingowych do komputerów, połączyła siły ze start-upem Nextbit - niewielką spółką produkującą smartfony. Idea tworzenia telefonów do grania tak naprawdę istnieje już od co najmniej 2011 r., kiedy Sony wypuścił na rynek Xperię Play, która miała wysuwany kontroler do gier. Razer jednak idzie trochę inną drogą; opracował urządzenie - Razer Phone - z wielką mocą i odmiennymi



Razer Phone, Chris Velazco, engadget.com

mi funkcjami sprzętowymi. Telefon wyróżnia się od flagowców np. Apple'a i Samsunga m.in. wyświetlaczem 120 Hz, ogromną baterią o pojemności 4000 mAh i aż 8 GB RAMu - dużo więcej niż normalnie potrzeba przy korzystaniu ze smartfona. Moc i płynność systemu zapewniana jest dzięki ośmiordzeniowemu Snapdragonowi 835 i procesorowi graficznemu Adreno 540. Będzie działał na systemie Android 7 Nougat, ale możliwa będzie aktualizacja do Oreo. Głośniki Razer Phone też są ponadprzeciętne, a nawet jedne z najlepszych w dzisiejszych smartfonach. Cechują się głośnością i dobrą barwą dźwięku. Są zainstalowane na froncie urządzenia. Brakuje jednak gniazda słuchawkowego. Niestety, Razer Phone ma kilka wad. W przeciwieństwie do popularniejszych flagowców telefon nie jest wodoodporny. Warto też wspomnieć, że aparat podobno nie zachwyca. Co prawda ma 12 MP, ale jakość obrazu nie jest najlepsza.

Razer Phone będzie dostępny w sklepach od 17 listopada za \$699, albo ok. 3000 zł po doliczeniu podatków.

Google Home Mini: mały asystent domowy

Zapewne kojarzycie już Google Home - urządzenie z wbudowanym asystentem, który potrafi wiele rzeczy. Teraz gigant wyszukiwarkowy zminiaturyzował je i stworzył Google Home Mini. Tak naprawdę Home Mini jest bezpośrednią odpowiedzią Google'a na Echo Dot, inny "smartgłośnik" od Amazona. Oba urządzenia mają podobne cechy i funkcje, ale Home Mini ma bardziej minimalistyczny wygląd. Home Mini, tak jak jego większy odpowiednik, jest aktywowany głosowo i potrafi np. odtwarzać muzykę, kontrolować gadżety, dodawać przypomnienia do kalendarza, uzyskać prognozę pogody itd. Jest lepiej przystosowany niż Home do środowiska, w którym się znajduje - nie wyróżnia się zbyt mocno od mebli i innych dekoracji. Jednak Home Mini nie jest taki dobry w odtwarzaniu muzyki. Głośnik urządzenia jest skierowany do góry - niezbyt dobrze, pod względem akustycznym. Home ma kilka głośników 360° wypełniających pokój dźwiękiem. Mini jest raczej przystosowany do głosu - i faktycznie, odpowiedzi głosowe asystenta brzmią czysto.

Home Mini jest oczywiście dużo tańszy niż Home - kosztuje ok. 180 zł, a jego większy odpowiednik - ok. 475 zł.

Specjalne okulary pomagają widzieć niedowidzącym

Stephen Hicks, neurolog na Uniwersytecie Oxford, stworzył OxSight - startup zajmujący się produkcją okularów pomagających widzieć. Według niego, gdy człowiek traci wzrok, jego mózg jest wciąż zdolny do zrozumienia, co się wokół niego znajduje, póki ma wystarczająco dużo danych. Okulary OxSight'a wykorzystują wizję komputerową i technologię AR (rzeczywistość rozszerzoną) tak, aby pomóc osobom z zaburzeniami wzroku widzieć poprawnie otoczenie. Wykorzystu-

jąc wizję komputerową, okulary mogą np. zwiększać kontrast obrazu, dostosować kolorystykę lub wyróżnić daną rzecz. Według Hicks'a "jeżeli nie odbierasz kolorów poprawnie, urządzenie zaakcentuje kolory, a jeśli masz jaskrę, okulary wyróżnią i wyostrożą obiekty, które widzisz". Hicks twierdzi, że największym wyzwaniem było skonstruowanie oprogramowania tak, aby nie wymagało dużej mocy obliczeniowej.

Okulary zostały przetestowane na pilotach, którzy mieli np. jaskrę. Piloci z okularami mogli znów widzieć ostro napisy i twarze.



Okulary OxSight'a, wired.co.uk

Źródła:

<https://www.engadget.com/2017/11/01/razer-phone-hands-on/>

<https://www.technewsworld.com/story/Google-Assistant-Shines-in-Pint-Sized-Home-Mini-84877.html>

<https://www.theverge.com/2017/10/11/16453788/google-home-mini-smart-speaker-review>

<https://www.theverge.com/2017/11/2/16600732/donald-trump-twitter-account-gone-realdonaldtrump>

<https://www.theverge.com/2017/11/3/16603620/rogue-twitter-employees-trump-account-deletion>

<http://www.wired.co.uk/article/oxsight-augmented-reality-glasses-eyesight-vision-blindness>

TECHNEWS: POLSCY NAUKOWCY—WIELCY PATRIOCI

W wydaniu specjalnym poświęconym naszym patriotycznym i narodowym tematom warto słów kilka poświęcić najwybitniejszym polskim naukowcom i ich odkryciom. Polacy wszak wnieśli (i wnoszą wciąż) wiele do międzynarodowego świata nauki. Przez wieki w naszym kraju tworzyli też naukowcy będący z pochodzenia m.in. Żydami, Niemcami, Austriakami, Niemcami... Wielu jednak z nich tworzyło, by wstawić w świecie swą wielką-małą ojczyznę: Polskę. Poniżej prezentujemy subiektywny ranking najważniejszych polskich (tworzących w Polsce) naukowców i odkrycia.

Benedykt Polak (XIII/XIV)- geograf i podróżnik, uczestniczył w misji papieskiej do Azji Środkowej, do władcy Mongołów, wnuka Czyngis – chana. Podróż ta trwała 2 lata i spostrzeżenia Benedykta uzupełniły w poważnym stopniu słynne dzieło Giovanniego da Pian del Carpine „Historia Mongolorum”. A zapominamy, że wywodzi się z naszej „małej” ojczyzny: Wrocławia.

Mikołaj Kopernik (XV/XVI): kanonik warszawski, człowiekiem wszechstronnym – prowadząc badania astronomiczne, potrafił równocześnie działać nienaukowo – jako administrator (odbudowując diecezję), polityk czy też dowódca wojskowy. Wiedział, że naukowiec musi być też dobrym obywatelem. Opublikował m.in. dzieła z trygonometrii. W 1543r. w Norymberdze ukazało się drukiem „De revolutionibus orbium coelestium” (O obrotach ciał niebieskich) – wybitny, logicznie spójny i matematycznie udowodniony wykład teorii, która „wstrzymała Słońce a ruszyła Ziemię”, stając się jednym z największych przełomów w historii nauki i historii myśli ludzkiej.

W dziedzinie astronomii polskiej wyróżnił się **Jan Heweliusz** (XVII) - godny następca Kopernika. Przez długi czas jego prywatne obserwatorium było najlepszą samowystarczalną instytucją naukową. Hewe-

liusz dokonał wielu odkryć: opracował topografię Księżyca (Selenographia); „Cometographia” – opis znanych komet (6 odkrytych przez Heweliusza); „Machina coelestis” – historia astronomii, opis instrumentów i wyniki obserwacji nieba. Heweliuszowi ofiarowano członkostwo najwybitniejszych klubów i akademii europejskich, którym jednak odmówił, pragnąc zostać w rodzinnym Gdańsku. Ta część biografii bardzo zbliża go do Henryka Mosinga, który także nigdy nie porzucił rodzinnego Lwowa.

We Francji działała nasza fizyczka i chemiczka, dwukrotna laureatka Nagrody Nobla, **Maria Skłodowska – Curie** (1867-

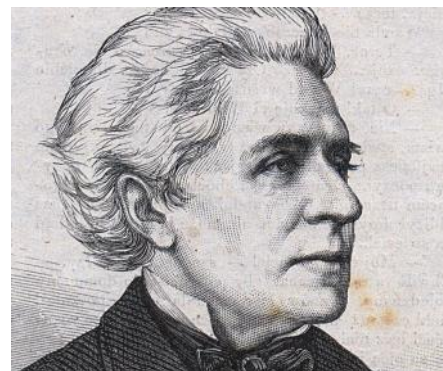


1934). Poświęciła się badaniom nad zjawiskiem promieniotwórczości. Wraz z mężem odkryła polon i rad, co dało początek kolejnym wielkim odkryciom m.in. w medycynie. Jako pierwsza kobieta w historii (po tragicznej śmierci męża) objęła katedrę Sorbony. A. Einstein powiedział o niej: „Pani Curie jest jedynym nie zepsutym przez sławę człowiekiem”. Nigdy nie zapomniała o swoim kraju.

Ignacy Łukasiewicz (1822-1882)- wyodrębnił jako pierwszy naftę właściwą z ropy naftowej, jednak przeważnie podaje się za jej odkrywców innych uczonych. Niestety, wielu polskich uczonych podzieliło los Łukasiewicza, a ich sława za odkrycia, których dokonali, często spły-

wała na innych naukowców. Często wynikało to z braku instytucjonalnego systemu szkolnictwa, nauki, a większość zapomnianych, wybitnych naukowców służyła nauce w Polsce pod zaborami.

Paweł Edmund Strzelecki po wspinaczce na góry w Australii napisał: „Szczyt skali-



sty i nagi, przewyższający kilka innych wywarł na mnie tak wielkie wrażenie przez podobieństwo do kopca wzniesionego w Krakowie nad grobem patrioty Kościuszki, że choć w obcym kraju, na obcej ziemi, lecz wśród wolnego ludu, który cenił wolność i jej atrybuty, nie mogłem powstrzymać się od nadanie górze nazwy Góra Kościuszki.” To jeden z wielu naukowców, którzy podczas zabórów wyemigrował i poświęcił się nauce na obczyźnie, nigdy nie zapominając o Polsce. Polski podróżnik, odkrywca i badacz (XVIII) poznał większość kontynentów świata. Badał Amerykę Półn. i Półd., wiele wysp Pacyfiku, Nową Zelandię skąd przybył do Tasmanii i Australii. Do dziś uznawany jest za jednego z najwybitniejszych geologów, geografów w Australii.

Ignacy Domeyko (XIX) inżynier górnik, mineralog i geolog, wychowanek Uniwersytetu Wileńskiego, filomata, przyjaciel Adama Mickiewicza, który w trzeciej części dramatu „Dziady” umieścił Do-





mejkę pod postacią Żegoty. Jako uczestnik powstania listopadowego na Litwie Domeyko musiał emigrować z kraju. W 1838r. wyjechał do Chile, gdzie zasłużył się dla rozwoju nauki. Badania i opisy nowych minerałów przyniosły mu światową sławę. Do końca życia utrzymywał więź ze swoją ojczyzną, którą odwiedził w 1884r.

Karol Stanisław Olszewski (XIX/ XX):



polski fizyk i chemik, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wraz z Zygmuntem Wróblewskim dokonał 5 kwietnia 1883 pierwszego na świecie skroplenia tlenu, zaś 13 kwietnia 1883 azotu. Później obaj uczeni zestalili także dwutlenek węgla i metanol. W 1895 skroplił i zestalił argon. Mogą stanowić, jak Weigl i Mosing, przykład naukowców, którzy w pracy zespołowej widzieli wielką siłę.

Jan Czochralski (XIX/ XX): polski chemik, metaloznawca, wynalazca powszechnie stosowanej do dzisiaj metody otrzymywania monokryształów krzemu - podstawy procesu produkcji mikroprocesorów.

Najczęściej cytowany polski uczony we współczesnym świecie techniki. A mimo to tak jak Mosing mało znany, szczególnie w swojej ojczyźnie.



Ludwig Zamenhoff (1859-1917) : Żyd pochodzenia polskiego, urodzony w Białymstoku. Wybitny lekarz i językoznawca, twórca sztucznego, międzynarodowego języka esperanto. Nowy język miał w zamierzeniu autora stanowić most porozumienia między ludźmi różnych kultur i ras. Esperanto czerpie z wielu języków, ale w głównej mierze opiera się na uproszczonej gramatyce łacińskiej. Chociaż nie stało się ono, jak planował Zamenhoff, językiem międzynarodowym, szybko rozprzestrzeniło się po świecie, zyskując sobie wielu zwolenników. Obecnie umie się nim posługiwać 8 mln osób.



Rudolf Weigl i Henryk Mosing: : wielcy lekarze, których badania uratowały miliony ludzkich istnień. Razem współpracowali w laboratorium duru plamistego przy Zakładzie Biologii Ogólnej Uniwersytetu Jana Kazimierza, utworzonym w 1921 i kierowanym przez prof. dr Rudolfa Weigla. Dzięki wynalezieniu szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu na zawsze przeszli do historii medycyny. W

okresie okupacji niemieckiej Lwowa dzięki niezwyklej odwadze prof. Rudolfa Weigla i dr. Mosinga szczepionka przeciw tyfusowi plamistemu produkowana w instytucie trafiała także do oddziałów polskiego ruchu oporu, do obozu pracy przymusowej dla Żydów przy ul. Janowskiej, do warszawskiego getta i do innych miejsc. Praca karmicieli i preparatorów wszy w Instytucie dawała skuteczną ochronę przed represjami okupantów – dlatego – zatrudniano tam osoby szczególnie zagrożone i pozbawione środków do życia: profesorów wyższych uczelni, studentów, przedstawicieli inteligencji, ruchu oporu. To przykład tego, jak nauka może służyć ludziom.



A to tylko kilku wielkich naukowców-patriotów, którzy może poza Kopernikiem i Skłodowską-Curie są niestety w swej ojczyźnie mało znani. A przecież tak bardzo pracowali nie tylko na swoją sławę, ale przede wszystkim na rzecz rozwoju swej ojczyzny. Czy sytuacja się zmieniła? Czy może nadal pasuje do nas powiedzenie: „Cudze chwalicie, swego nie znacie”? Bo kto wie np. o sztucznej kości stworzonej przez uczonych z Lublina (prof. Grażyny Ginalskiej, znanej w Lublinie biochemik oraz jej asystentkę), o najstarszych znalezionych pod Kielcami skamienielinach gadów, o ty, czym jest sławny na całym świecie materiał przyszłości: grafen czy też tego, że to Steve Wozniak, wynalazca polskiego pochodzenia, stworzył pierwsze komputery Apple. Nigdy nie wyszedł z cienia Jobsa... Cóż, różnie plotą się losy sławnych polskich naukowców.

POLSKA FILMEM STOI!

Ponieważ także w dziale kulturalnym chcemy odnieść się do tematu przewodniego numeru „Agrafki” (nowoczesnego patriotyzmu) chcielibyśmy przybliżyć Wam tych polskich twórców X muzy, którzy rozstawiają swą ojczyznę w świecie. A więc... Czas na wybitnych polskich filmowców i wielkie polskie dzieła!

Oscarowe filmy



Oczywiście najważniejszą dla nas jest kategoria „film nieanglojęzyczny” wprowadzona po raz pierwszy do 29. edycji Nagród Akademii Filmowej, której ceremonia odbyła się w 1957 roku. Dotychczas polskie produkcje znalazły się w gronie nominowanych dziesięciokrotnie: pierwszy raz w 1964 roku („Nóż w wodzie” Romana Polańskiego), ostatni – w 2014 roku („Ida” Pawła Pawlikowskiego). Ponadto „Ida” jest pierwszym polskim filmem, który zwyciężył w tej kategorii! Wśród innych nominowanych filmów znalazły się m.in.: „Faraon” (reż. Kawalerowicz), „Potop” (reż. Hoffman), „Ziemia obiecana” (reż. Wajda), „Noce i dnie” (reż. Antczak), „Panny z Wilka” (reż. Wajda), „Człowiek z żelaza” (reż. Wajda), „Katyń” (reż. Wajda), „W ciemności” (reż. Holland). W tym roku liczymy na nominację „Pokotu” w reż. Agnieszki Holland.

Polska szkoła filmowa

Jednak nie tylko z produkcji oscarowych znana jest polska kinematografia. Często mówi się o „polskiej szkole filmowej” czy „kinie moralnego niepokoju”. Wbrew wszelakiemu malkontentstwu, że polska kinematografia nie jest tak widoczna na światowych salonach jak dawniej, polskie filmy są pokazywane na różnego rodzaju prestiżowych festiwalach, trafiają do regularnej dystrybucji kinowej i zdobywają wielu zwolenników. Na świe-

cie wszyscy kojarzą nie tylko Wajdę, ale przede wszystkim reżysera cyklu „Dekalog”: **Krzysztofa Kieślowskiego**. W jego ślady poszło wielu młodych polskich twórców. To oni stworzyli rozpoznawalne w ostatnim czasie w świecie produkcje: „33 sceny z życia” (reż. Małgorzata Szumowska obok Jacka Borucha bodaj najbardziej znanym na świecie głosem młodszego pokolenia polskich reżyserów). Inne jej znane obrazy to „Sponsoring” z Juliette Binoche oraz „W imię...”.

Polscy oscarowi reżyserzy



Andrzej Wajda to ten wybitny polski twórca, którego filmy były nominowane aż 4! Razy. Nie dziwi więc fakt, że otrzymał Oscara za całokształt twórczości: w 2000 roku. W kategorii „reżyseria” mamy jednego Oscara, ale za to dla jednego z najbardziej znanych polskich twórców: Romana Polańskiego. Otrzymał go w 2003 za film „Pianista”.

Polskie korzenie...

Od czasów legendy kina niemego Poli Negri żadnemu z Polaków nie udało się podbić Hollywood. Okazuje się jednak, że mamy w Krainie Snów wielu swoich przedstawicieli! Do polskich korzeni przynależy wiele osobistości światowego kina. Wśród tych, którzy mają polskie korzenie (a właściwie ich przodkowie byli



polskimi Żydami) są np. Natalie Portman czy Scarlett Johansson. Matka **Juliette Binoche** pochodzi z Częstochowy. Dziadek Gwyneth Paltrow był krakowskim rabinem! Dziadem Umy Thurman to przedwojenny baron z śląskiego Głogówka. Adrien Brody, znany z roli Szpilmana w „Pianiście”, wiedział, że jego rodzina zginęła niemal w całości w Auschwitz (jego pradziad był polskim Żydem). Robiąca obecnie karierę Mia Wasikowska („Alicja w krainie czarów”) to Polka, której matka wyemigrowała do USA.

Cóż, chyba i w przypadku X muzy możemy uznać, że Polacy zbyt mało wiedzą o polskim filmie i często go nie doceniają. A szkoda, bo często są to obrazy ważne, nietuzinkowe i prekursorskie. Dobrze, bo polski – tak, wybierzcie się do kina, na polski film. A w ramach projektu Legalna Kultura możecie co czwartek zobaczyć dobre polskie filmy w dobrej cenie, m.in. powstałe w ostatnim czasie: „Pokot”, „Ostatnią rodzinę”, „Wołyń” czy „Vincent”. Trzymamy kciuki za ten ostatni obraz, który właśnie został nominowany do Europejskiej Nagrody Filmowej. Mamy nadzieję, że to także pewny kandydat do nominacji oscarowych.

Wg nas sztuka, film, literatura to te dziedziny, którym Polska być w świecie obecna zanan. A twórczość naszych wielkich artystów niewątpliwie można uznać za nowoczesnego patriotyzmu.

Wszystkie zdjęcia pochodzą ze strony: filmweb.pl

REMAKI, PREQUELE, SEQUELE...

W kulturze filmowej są pewne utwory, których pod żadnym pozorem nie należy zmieniać, przerabiać, poprawiać. Jednak czego się nie robi dla pieniędzy. Istnieją takie tytuły, które są niczym kura znosząca złote jaja. Dokręcić przedakcje, prolog, wprowadzić wątek poboczny: słowem zrobić wszystko, by na jednym tytule zarabiać kolejne miliony.

30 lat później

Dawno, dawno temu Ridley Scott stworzył wybitne dzieło, które po latach uchodzi za klasyk kina sf „Łowcę Androidów”. Film bazuje na książce Philipa K. Dicka „Czy androidy marzą o elektrycznych owcach”. Główny bohater – Rick Deckard jest łowcą androidów. Jego zadanie to tropienie i zabijanie replikantów, czyli maszyn przypominających ludzi, stworzonych do wykonywania ciężkich i niebezpiecznych prac. Świat, który przedstawił Scott, chyli się ku upadkowi. Bogatsze rodziny uciekają z Ziemi, na której coraz trudniej żyć, a w tym czasie różnice między ludźmi, a androidami coraz bardziej się zacierają. 35 lat po premierze „Łowcy” na ekrany kin trafił „Blade Runner 2049”, którego akcja dzieje się 30 lat po wydarzeniach z pierwszej części. 3-godzinny film z pozornie prostą i nieangażującą fabułą. Zdjęcia na wielkim ekranie wyglądają zjawiskowo. Każdy kadr można wywołać, oprawić w ramkę i powiesić na ścianie. Muzyka, stworzona przez Hansa Zimmera (komponował także do kilku części „Piratów z Karaibów”, „Dunkierki”, „Interstellar” i „Madagaskaru”!), wprowadza odbiorcę w idealny nastrój. Jednak

to nie wystarczy, by uratować scenariusz. Ryan Gossling świetnie sprawdza się w roli nowego łowcy. Fan oryginału może obserwować, jak w ciągu tych 30 lat rozwinął się świat przedstawiony. Reżyser – Denis Villeneuve pokazuje tereny poza jasnymi, tętniącymi życiem miastami. Niestety, mimo tych zalet film odstaje od pierwszej części. Historia wydaje się abstrakcyjna i nic z niej nie wynika. Osoby nieznaące pierwszej części niewiele zrozumieją. Wydarzenia są niedopowiedziane, a dialogi bohaterów niszczą panującą wokół nich aurę. Z kina można wyjść w zachwycie nad zdjęciami, muzyką i aktorstwem, ale to nie są jedyne czynniki budujące film, a scenariusz, dialogi i ekspozycja bohaterów „leżą i kwiczą”. Mimo powszechnej, pozytywnej opinii na temat nowego Blade Runnera, film wcale nie zarobił dużo. Koszty produkcji wynosiły niecałe 400 mln dolarów, a box office to zaledwie połowa tej kwoty. Nikogo nie dziwią koszty kręcenia kontynuacji „Łowcy”. Znane nazwiska, świetne efekty specjalne, zdjęcia na najwyższym poziomie, niesamowita scenografia. Jednak „Blade Runner” to nie kino rozrywkowe. Film jest ciężki w odbiorze dla osoby nieznaącej pierwszej części. Wizualnie kontynuacja rzetelnie naśladowała pierwotny wzór, ale nie wystarczyło to do odniesienia sukcesu.

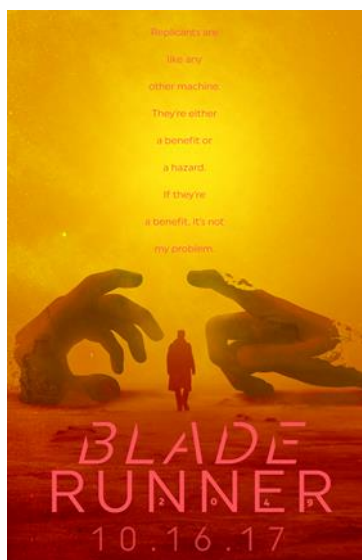
Obcy do potęgi

„Ósmy pasażer Nostromo” okazał się wielkim sukcesem. W 1979 roku, kiedy powstał film, wizja Ridleya Scotta i przedstawiona przez niego historia była czymś świeżym i nowym. „Obcy – 8 pasażer Nostromo” jest klasyką, dziełem, do którego nawiązuje współczesne kino sf. Kontynuacja „Obcego” („Obcy – decydujące starcie”) była uzasadniona, a powstały utwór w miły sposób bawił się pierwszą częścią i gatunkiem. Na skutek tego powstał przyjazny dla widza film, tym razem

nie horror, a film akcji. Trzecia część: i tu obcy dostaje zadyszki. To był moment, kiedy należało przerwać. Na pierwszych „Obcych” producenci zarobili dużo, a z każdym kolejnym filmem o tym uniwersum box office rósł. Tajemnica i niewiedza o przeszłości ani przyszłości bohaterów i samego obcego(!) dodawała historii atmosfery tajemnicy, a ujawnianie wszystkiego z każdą kolejną kontynuacją, każdym prequelem i sequelem, obdzierała obcego z tego, za co kochali go fani. Powstałe w XXI wieku kontynuacje „Prometeusz” i „Obcy – Przymierze” (mimo bardzo estetycznych zdjęć i dobrych efektów specjalnych) są profanacją oryginału. Ironią jest to, że Ridley Scott sam niszczy swoje dzieło, bo to on reżyserował pierwszą i najnowsze części. Kiedy wpisze się w wyszukiwarkę „Obcy – 8 pasażer Nostromo” obok wyświetla się 26(!) powiązanych filmów. A to jeszcze nie koniec, bo „Prometeusz” czeka na swoją kontynuację! Ridley Scott reżyserią kolejnych części nie wmówi nikomu, że nie robi tego dla pieniędzy.

Franklin J. Shaffner vs cała reszta

Na początku Pierre Boule napisał książkę „Planeta Małp”. Statek kosmiczny trafił na planetę, gdzie ewolucja ludzi stała się w miejscu, a małpy są dominującym na całym świecie i najlepiej rozwiniętym gatunkiem. Franklin J. Shaffner w 1968 roku stworzył film („Planeta Małp”), który zarobił w porównaniu do kosztów sześciokrotnie i nic w tym dziwnego, dzieło Shaffnera ogląda się do dziś. Dwa lata później powstała nikomu niepotrzebna kontynuacja, a następnie przez cztery lata z rzędu systematycznie tworzone kolejne części. Średnio box office każdego filmu wynosił minimum sześć razy więcej niż koszty jego tworzenia. Wystarczyło wymyślić prostą historię, dać charakterystyczny i rozpoznawalny tytuł – „Planeta Małp” i gotowe! Gwarantowany zysk. W



te wakacje miał premierę 3 sequel „Planety Małp” wyreżyserowany w XXI wieku. Filmy te same w sobie nie są złe, ale 16 filmów prawie o tym samym mężczy. Nowe małpy zarobiły pół miliarda dolarów, ale czy kontynuacje kontynuacji to coś, czego brakuje w kinie?

Avatar x 4

Wszystkie filmy zajmujące pierwsze miejsca w rankingu największych box officeów mają swoje kontynuacje: „Star Wars”, „Szybcy i Wściekli”, „Jurassic World”, „Avengers”, a regułą potwierdza wyjątek „Titanic” (osoba, która zrobiłaby kontynuację, byłaby niespełna rozumu). Box Office „Avatara” to prawie trzy mld dolarów i jest to największa kwota, jaką zarobił kiedykolwiek jakiegokolwiek film. Dlaczego więc nie ma kontynuacji? O kolejnych częściach jest głośno od dłuższego czasu, jednak dopiero niedawno ogłoszono rzekomą premierę „Avatara 2” na rok 2020. Trzeba pamiętać, że Avatar nie jest najlepszy, tylko ma największy „zarobki”, więc nie należy się spodziewać wielkiego sukcesu, jeśli chodzi o jakość filmu. Twórcy mają w planie nie jedną, a cztery nowe części i chyba nikt nie spodziewa się, że sequele, które według planu mają wchodzić na ekrany kin systematycznie co rok, przejdą do historii jako klasyki gatunku.

Ostatni Jedi, ale nie ostatni film

„Star Wars” wszyscy znają i kochają. George Lucas wymyślił całe uniwersum, a

także ustalił kolejność, w jakiej nagra filmy. Pierwsze trzy części, czyli chronologicznie 4, 5 i 6 są znane każdemu fanowi. Zresztą z częściami 1, 2 i 3 sytuacja wygląda podobnie. Gdy do kina w 2015 roku weszła pierwsza część nowej trylogii, miłośnicy Gwiezdnych Wojen mogli przeczuwać, co się święci. „Star Wars: Przebudzenie Mocy” było kłosem wszystkiego, co wydarzyło się w poprzednich częściach i nie były to dyskretne nawiązania do pierwszych części, tylko jawne powielanie wątków i wydarzeń. Początek kolejnej trylogii wywołał wielkie rozczarowanie, ale nie przeszkodziło to w zarobieniu ponad 2 mld dolarów. Ciekawe. 2016 rok, czyli „Łotr 1”. Fabuła nie nawiązuje do „Przebudzenia”, ale pokazuje, jak dawno temu grupa odważnych ludzi zdobyła plany do Gwiazdy Śmierci. Widz wie, co było przedtem i jak skończy się film (przecież plany zostaną zdobyte, a Gwiazda zniszczona, wiemy to z pierwszych trzech filmów Lucasa), mimo to twórcy wychodzą obronną ręką. Nie zostawiają niedopowiedzianych wątków, ponieważ wszystkie wątpliwości zostały rozwiązane dawno temu w filmach, które już powstały. Z „Łotra” nie robi się już kontynuacji, więc trzeba się postarać, żeby film sam w sobie odniósł sukces i to dzięki niemu wiele osób pójdzie na „Ostatniego Jedi” trochę spokojniejszy o

to, co zobaczy na ekranie. Na pewno plakaty promocyjne filmów dają złudzenie,

że nie ma się o co martwić. Ale „Ostatni Jedi” nie będzie ostatni. W przyszłym roku na ekrany trafi historia Hana Solo, a nie da się przewidzieć, co jeszcze wymyślą producenci, bo popularność „Star Wars” wciąż rośnie i jest to idealny teren do zarabiania pieniędzy.

Na pytanie, czy wszystkie remaki i kontynuacje kinowych klasyków to zło, nie da się odpowiedzieć jednoznacznie, ale ludzi odpowiedzialnych za robienie 27. filmu „Obcy” albo 16. filmu na podstawie „Planety Małp” powinno się ukrzyżować. Każdy ma swoje kredyty do spłacenia, ale żerowanie na kinowych świętościach jest nieakceptowalne. Mimo to przesąd, że prequeli i sequele kręcone po latach są zawsze niewypałami jest błędny, a pobudki twórców nie zawsze wiążą się z pieniędzmi.



Agnieszka Krawczyk

OBRAZY MÓWIĄ ZA ARTYSTĘ

„Twój Vincent” to animowany film produkcji brytyjsko – polskiej, w reżyserii Doroty Kobieli i Huga Welchmana. Scenariusz został stworzony przez reżyserkę Dorotę Kobieli we współpracy z poetą i prozaikiem Jackiem Dehnelem. Opowiada o życiu oraz o tragicznej śmierci znanego na całym świecie malarza Vincenta van Gogha.

Dzieło w całości stworzone zostało z około 65000 malowideł olejnych przy użyciu tej samej techniki, jaką stosował słynny artysta. Blisko 130 z nich jest rzeczywistymi obrazami Van Gogha. Możemy wśród nich zobaczyć między innymi „Tarasowi w nocy” i „Gwieździstą noc nad Rodanem”. W jednej sekundzie filmu na ekranie znajduje się 12 dzieł. Ponadto jest to pierwszy na świecie film pełnometrażowy tego rodzaju.



ZACZĘŁO SIĘ

Vincent van Gogh urodził się w 1853 w Groot Zundert na południu Holandii. Malarz już jako dziecko był zamyślony i poważny. Twierdził, że jego dzieciństwo było ponure i smutne. Otrzymał imię po swoim zmarłym, urodzonym dokładnie rok wcześniej bracie. Wczesną młodość spędził, podróżując i handlując dziełami sztuki. Następnie po powrocie z jednej z wypraw pracował jako nauczyciel. Później zapragnął zostać pastorem i tak też się stało. Przez pewien czas był misjonarzem mieszkającym w górniczym regionie Belgii. Żyjąc tam, zaczął sporządzać szkice ludzi, których poznawał. W 1885 roku namalował swój pierwszy obraz: „Jedzący kartofle”. Początkowo swe prace tworzył w ciemnych odcieniach, nie tak żywych, z jakich znamy go obecnie. Po kilku latach mieszkania w Belgii artysta przeniósł się do Paryża i poznał tam francuskich impresjonistów. Następnie pojechał na południe Francji. Zdomowił się w Arles nad Rodanem; tam też w pełnym stopniu rozwinął swoje umiejętności i wypracował własny, oryginalny styl. Van Gogh zmarł w lipcu 1890 roku. Wg większości źródeł artysta popełnił samobójstwo, jednak nie ma co do tego całkowitej pewności, gdyż nie było żadnego świadka tego wydarzenia.

PRZEMYŚLENIA

W filmie „Twój Vincent” obrazami artysty zostało pokazane jego życie, charakter i odczucia. Fabuła filmu jest osadzona w ciekawej sytuacji, kiedy to syn przyjaciela wielkiego artysty, dwa lata po jego śmierci, ma odnaleźć brata Vincenta i dostarczyć mu list od niego. Podczas tej podróży mężczyzna zaczyna interesować się okolicznościami i przyczyną śmierci Van Gogha. Poznaje kolejne postaci, które opowiadają mu o malarzu i wnoszą cenne informacje o jego życiu. Dzięki wprowadzeniu elementów niepewności, tajemnicy i poszukiwania, film nabiera kształtu niemal kryminału i ogląda się go z zainteresowaniem. Vincent był niezwykle wrażliwym człowiekiem, doceniającym otaczające go piękno i zwracającym uwagę na detale. W jednej ze scen powiedziane jest, że umiał się zachwycić nawet żdźbłem trawy. Sądzę, że być może właśnie dzięki tej umiejętności umiał w niezwykły sposób uchwycić ludzi i świat na swoich obrazach. W filmie pokazane są



także relacje artysty z innymi ludźmi. Najbliższą mu osobą był młodszy brat: Theo. To on wspierał go psychicznie i finansowo, z nim malarz utrzymywał stały kontakt poprzez korespondencję. Van Gogh cierpiał na zaburzenia psychiczne, między innymi na napady lękowe. Podejrzewano u niego również chorobę umysłową, zwaną psychozą maniakalno-depresyjną. Kiedy jego problemy ujawniły się po tym, jak obciął sobie ucho, społeczeństwo odrzuciło go. Ludzie nazywali malarza wariatem. Nawet dzieci dręczyły go i obrzucały kamieniami. Zmusiło mnie to do myśli, że wielu z nas tak postępuje. Gdy dostrzegamy w kimś słabość lub coś niezgodnego z normą, zamiast w jakiś sposób pomóc tej osobie lub zostawić ją w spokoju, czujemy się wręcz w obowiązku by wyrazić własne zdanie, wyższość nad słabszym. Najczęściej jest to krytyka i wytykanie oraz wreszcie wykluczenie, zniszczenie takiego człowieka. Sądzę, że na tak wrażliwego Vincenta mogło to mieć ogromny negatywny wpływ. Czuł się w głębi duszy niesamowicie samotny, niezrozumiany. Malowanie było jego pasją i oderwaniem od smutku codzienności, ponieważ na płótno przelewał nie tylko obraz, ale i swoje uczucia. Należy dodać również, że za życia Vincenta sprzedała się tylko jedna jego praca. Namalował ich około 900.

CZY WARTO?

Uważam, że film ten jest wart obejrzenia. Technika, jaką został wykonany, bardzo mnie zaskoczyła i zachwyciła. Wrażenie, jakie dają obrazy Vincenta Van Gogha i postaci na nich poruszające się oraz opo-

wiadające o jego życiu, jest niesamowite. Ciekawe są także barwy dzieła, ponieważ były one tak żywe, jak na malowidłach artysty. „Twój Vincent” skłania do refleksji i wzrusza. Podczas oglądania możemy wczuć się w uczucia malarza i zobaczyć, w jakim był stanie. Poznajemy również wiele innych postaci, które naprawdę istniały, należały do rodziny, były przyjaciółmi, znajomymi Van Gogha. Odkrywamy ich uczucia, możemy zobaczyć zdarzenia i historię z różnych perspektyw.

OSCAROWY PEWNIAK?

„Loving Vincent” jest pierwszą na świecie pełnometrażową animacją malarską. Film złożony jest z 65 000 obrazów malowanych farbą olejną na płótnie, wykonanych w ciągu ponad 2 lat przez przeszło 100 malarzy polskich i zagranicznych techniką wiernie naśladowującą twórczość van Gogha. Animowane postaci, opowiadające o życiu artysty są jednocześnie bohaterami jego własnych obrazów, których przeszło 120 zostanie wkomponowanych w kadry filmu. Film powstał w gdańskich pracowniach, częściowo też we Wrocławiu i w Wielkiej Brytanii. Reżyserka Dorota Kobiela jest malarką i reżyserką, Hugh Welchman – brytyjskim producentem filmowym, którego animowany Piotruś i Wilk zdobył statuetkę Oscara 2007 za Najlepszy Krótkometrażowy Film Animowany. „Twój Vincent” już został nominowany do Europejskiej Nagrody Filmowej, a wielu twierdzi, że jest też oscarowym pewniakiem. Na pewno zasłużył!

POSTJAZZOWE GATUNKI MUZYKI NEGROAMERYKAŃSKIEJ, CZ.1

Kolejny odcinek historii muzyki rozrywkowej. Za nami jazz i rock. Teraz pora na muzykę wywodzącą się prosto od jazzu, lecz aktualniejszą i bardziej lubianą. W tym numerze wszystko o muzyce afroamerykańskiej... ... soul, funk, reggae i rhythm&blues!

Wielki afroamerykański żywioł

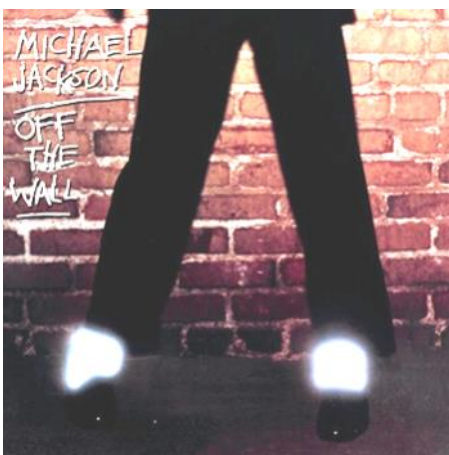
Wiecie, jak to było. Czarnoskórzy niewolnicy przyjechali do Ameryki z muzyką zakodowaną w genach. Jako wolni ludzie po wojnie secesyjnej w Stanach Zjednoczonych przypomnieli sobie o głębokich muzycznych korzeniach. Najpierw tworzyli bluesy i ragtime, czerpiąc zarówno z muzyki Afryki, jak i z brytyjskiej psalmodii i hymnodii. W latach 10. XX wieku w Nowym Orleanie wykształciła się muzyka hot, a z czasem jazz. W jazzie od zawsze chodziło o spontaniczność, zabawę i taniec. W końcu jazz zaczął ewoluować właśnie w stronę tańca i większej żywiołowości. Big bandowi artyści w latach 30. XX wieku stworzyli tzw. Jump Blues. „Blues do skakania” z czasem przybrał nazwę rhythm&bluesa, który stanowił mieszankę jazzu, bluesa i (bardzo ważnej dla czarnoskórych) muzyki gospel. Do największej ekspansji nowego gatunku doszło w słynnym Chicago, a także na mniejszą skalę w Nowym Jorku.

Słodkie R’n’B... a może R&B (jakieś skomplikowane te skróty)



Szybko okazało się, że jump blues się sprzedaje. I w dodatku dużo lepiej niż jazz. Mimo faktu, iż była to muzyka grana przez Murzynów dla Murzynów, R&B stało się synonimem dla muzyki pop. W latach 50. rhythm’n’blues choć był bardzo popularny zaczął przenikać się z powstającym rockiem. Tu należy wrócić do generacji twórców rocka, ponieważ byli równie ważni dla R&B. Muddy Waters, Little

Richards, Chuck Berry, Cliff Richards – to ci najważniejsi z nich. Przez całe lata 60. blues pozostawał widoczny w muzyce rockowej. W latach 60. powstawał też soul, który czerpała garściami z twórczości rhythm and blues. Wielkim geniuszem łączącym oba gatunki (R&B i soul) był Ray Charles. Napisał setki świetnych piosenek:



„Hit the Road Jack”, „I Got a Woman”, „Let The Good Times Roll”. Jego twórczość przenika przez jazz, rock i pop do dziś.

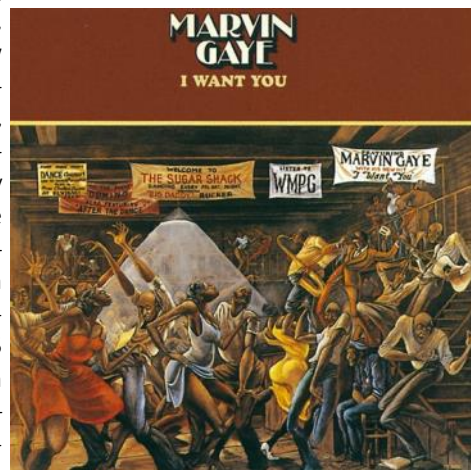
Z czasem jump blues w odmianach zszedł na drugi plan. W pewnym sensie stracił autonomię. Przemieszczał się z innymi stylami i znacznie zmienił. Dzisiejsze R&B to połączenie funku, soulu, hip-hopu i disco. Zatracił pochodzenie bluesowo – gospelowe i stał się bardziej zmysłową formą popu. Ta forma R’n’B pręźnie rozwijała się w latach 80. – grali go Michael Jackson, Prince, Marvin Gaye i inni. Jednak wpływ Jacksona jest największy. Warto sprawdzić albumy takie jak: „Off The Wall”, „Thriller” czy „Bad” – są one esencją i początkiem nurtu zwanego „Contemporary R&B”, czyli tego nam dzisiaj znanego, ale nic wspólnego z oryginalnym rhythm’n’blues nie mającego. Michael stoi na podium dla najważniejszych artystów muzyki rozrywkowej, dlatego będzie miał własne 5 minut w osobnym artykule. Tymczasem dziś najwięcej R&B znaleźć można w hip-hopie i popie. Świetnymi artystami Con-

temporey R&B są dzisiaj m.in. Pharrell Williams, Justin Timberlake, Duffy. W ostatnich latach dla tego gatunku najwięcej zrobił John Legend.

Liczy się dusza

Soul oznacza po angielsku duszę. Na tym opierał się wykształcony z jazzu nowy gatunek. Podwalinami dla muzyki soul był jazz wokalny (Ella Fitzgerald, Nina Simone), gospel i oczywiście rhythm and blues. Soul zyskał niewiarygodną popularność wśród białych. Jego najlepsze dni przypadają na czas licznych ruchów praw obywatelskich w Stanach Zjednoczonych. Soul oddzielił się od R&B, stawiając na skłanianie słuchacza do refleksji, warstwę liryczną i nawiązywanie do Biblii. Soul nie poszedł w stronę disco i pozostał wierny tradycjom gospel i odmianom negro spirituals. Często poruszano tematy polityczne i moralne. Dodatkowo rozgłos muzyce soul zapewniło bogate instrumentarium podpatrzone w jazzie. Soul grany był w kościołach. Do dziś na południu USA praktykują się song-sermon – śpiewane kazania. Ich oprawa muzyczna nawraca ludzi, naprawdę! Soulu słucha się dziś na całym świecie. Ma on bezpośredni wpływ na muzykę jazzową i afrykańską.

Największym pionierem jazzu był Ray Charles. Za nim poszły całe pokolenia legend i mistrzów soulu. U początków byli to Aretha Franklin (rozbudziła do walki

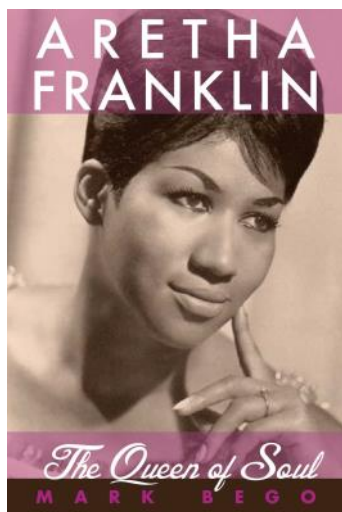


Michalina Szymańska

REALNA WYSPA, CZ.8

miliony kobiet), Roberta Flack (warto się rozmarzyć), James Brown (król funku, jeszcze o nim opowiem...), Barry White (ukochany artysta panienek lekkich obyczajów), Whitney Houston (właściwie głównie grała disco), Marvin Gaye (czysta poezja!), Diana Ross (uwielbiam). Bardziej aktualnie: Joss Stone (ten głos...), Erykah Badu (włączyła do soulu hip-hop), Amy Winehouse (same platynowe płyty), Adele (Hello?). Soul tworzony przez białych nazywany jest blue-eyed soul. Soul przerósł rytm&blues i okazał się kamieniem węgielnym dla setek podgatunków. Często pojawia się w filmach opowiadających o latach 60., o walce Afroamerykanów, o życiu w getcie. Warto obejrzeć musical „Blues Brothers”, który aż kipi klasycznym R&B i soulem. Soul ma się nawet całkiem nieźle w Polsce (Kayah, Mika Urbaniak).

Rytm&Blues oraz soul to prawdziwa biblioteka świetnych piosenek. Gatunki te ukształtowały muzykę nam dziś znaną. Zapraszam do słuchania i dobrej zabawy. Nadaję się też do tańczenia! Jeśli chodzi o historię rozrywkowej muzyki Czarnych, pozostaje jeszcze funk, reggae. Możliwe, że zahaczę też o początki hip-hopu... Do zobaczenia?



Najistotniejsze nagrania:

1959 - „The Genius of Ray Charles” Ray Charles
1963 - „Live At the Apollo” James Brown
1968 - „Lady Soul” Aretha Franklin
1971 - „What’s Going On” Marvin Gaye
1972 - „Superfly” Curtis Mayfield
1983 - „Thriller” Michael Jackson
1982 - „1999” Prince
1980 - „The Blues Brothers Soundtrack” Blues Brothers Band
1999 - „On How Life Is” Macy Gray
2000 - „Mama’s Gun” Erykah Badu

Sara leżała na piasku i właśnie kończyła ostatnią linijkę tekstu. Szybko przeleciała wzrokiem po treści listu i zadowolona z całości zwinęła go i włożyła do butelki. Wstała i spojrzała na morze. Niedawno rozpoczął się odpływ, więc kobieta miała nadzieję, że butelka zostanie zabrana jak najdalej stąd i szybko trafi na stały ląd.



Podeszła bliżej wody tak, że fale obmywały jej stopy. Wiatr niestety nie sprzyjał jej i wiał w stronę lądu. Brunetka wiedziała, że w takich warunkach nie wyrzuci zbyt daleko butelki, więc weszła kawałek w głąb morza. Gdy woda sięgała jej nad kolana, a fale stały się bardziej dokuczliwe, Sara wzięła zamach i wyrzuciła butelkę najdalej jak mogła. Przedmiot z głośnym pluskiem wpadł do oceanu kilka metrów dalej i za sprawą prądu zaczął oddalać się od brunetki. Dopiero gdy butelka zniknęła z pola widzenia, kobieta wróciła na plażę. Spojrzała na słońce, które było w zenicie. Czuła całkiem spory głód, w sumie od rana nic nie jadła. Przypomniało jej się, że niedaleko jest rafa koralowa obfita w różne żyjątka. Szybko zaostrzyła jeden z dłuższych patyków i ruszyła na podwodne łowy.

Kobieta siedziała w szałasie, jedynym miejscu na plaży, gdzie tak bardzo nie doskwierał upał. Przyglądała się w ciszy, jak mała matka w pośpiechu chwyciła resztki upieczonych przez Sarę rybek i znikła w buszu. Zaczęło ją zastanawiać, czemu dzikie zwierzę podchodzi tak blisko niej, ale nie chciała zaprzętać sobie tym głowy. Syty posiłek i żar lejący się z nieba sprawiły, że brunetka poczuła się śpiąca. Ułożył się wygodnie na piasku i zasnęła, wpatrując się w morze.

- Dzisiaj morze jest wyjątkowo spokojne. Prawda Anno? - odezwała się kobieta ubrana w długą, białą suknię wieczorową. Sara uśmiechnęła się pod nosem. Uwielbiała, gdy inni nieświadomi jej prawdziwej tożsamości, myśleli, że znają ją lepiej niż siebie. Tak było również w tym przypadku.

- Masz rację Amelio, wyjątkowo spokojne. Może wrócimy do środka. Zdaje się, że panowie czekają na nas - powiedziała i z poważną miną skierowała się do sali, gdzie odbywało się przyjęcie. Bawiło ją zachowanie "wyższych sfer" i chyba właśnie dlatego wykupiła wycieczkę pierwszą klasą w strefie arystokratycznej, co wcale nie było takie trudne po otrzymaniu spadku po wuju z Anglii. Po chwili podeszło do nich dwóch dżentelmenów, jak ich lubiła nazywać Sara.

- Cieszę się, że jesteście. Zaraz będzie toast, więc może wrócimy do naszego stolika - zaproponował John, młodszy z nich. Gdy panie zgodziły się, mężczyzna podeszedł do Sary i objął ją jedną ręką delikatnie w pasie. - Ślicznie dzisiaj wyglądasz Anno.

- Dziękuję John - odpowiedziała kobieta, uśmiechając się delikatnie, chociaż miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Bawił ją ten młody człowiek. Traktował ją jak delikatnego ptaszka, jakby bał się, że ją skrzywdzi. Jednak nie miał pojęcia, że jej nie da się skrzywdzić. Sara zbyt dużo przeszła, żeby mógł ją poruszyć jakiś czyn czy słowo. Przecież kto zostawia swoją rodzinę bez niczego. Tylko osoba bez serca.

Sara obudziła się z krzykiem, płosząc przechodzącą nieopodal mapkę. Serce waliło jej jak oszalałe. - To tylko sen - mruknęła, aby przekonać samą siebie. Jednak to niewiele pomogło, gdyż brunetka czuła, że to nie jest tylko sen. Czuła, że to prawda. Zostawiła swoją rodzinę, zabierając cały majątek.

Julia Pawicka

ŚWIĘTOWAĆ KAŻDY DZIEŃ!

Ten świąteczny numer w dużej mierze poświęcony jest naszemu narodowemu Świętu Niepodległości, które obchodzimy 11 listopada. Jednak ja chciałabym Was zachęcić do świętowania każdego dnia, bo okazji jest wiele. Poniżej prezentujemy tylko kilka z propozycji świątecznych dni. Niektóre na pewno trzeba świętować z przymrużeniem oka:)

Dzień Sprzątania Biurka

Niektórzy Dzień Sprzątania Biurka w zasadzie obchodzą codziennie, szczególnie jeśli mają skłonność do wyjmowania wszystkich długopisów z piórnika podczas odrabiania lekcji :). Jeśli Ty się do takich osób nie zaliczasz, sądzę, że to dzień stworzony z myślą o Tobie! Oficjalnie dzień świętujemy w 2. poniedziałek stycznia.

Dzień Czystych Okien

Sobota wypadająca tydzień przed Wielką Sobotą. Zbliża się Wielkanoc i dom powinien lśnić czystością. Dzień Czystych Okien może być dodatkową motywacją do gruntownego posprzątania miejsca zamieszkania. Przynajmniej raz w roku jest okazja, by gruntownie zająć się tą niezbyt lubianą czynnością.

3 VI: Dzień Dobrej Oceny

Jeśli często zdarzają Ci się jedynki czy dwójki, to spraw, aby ten dzień był wyjątkowy!

14 I: Dzień Osób Nieśmiałych

Jeżeli jesteś nieśmiały(a) i nie lubisz występować przed publicznością, to pamiętaj, że oprócz tremy przed poznawaniem nowych ludzi masz też swój dzień w kalendarzu :) A może lepiej przestać świętować ten dzień?

11 X: Dzień Wychodzenia z Szafy



Czego to ludzie nie wymyślą... Jeśli tego dnia wszedłeś do szafy, to pamiętaj, żeby z niej wyjść!

22 X: Dzień Caps Locka

Cokolwiek byś pisał na komputerze, tablecie czy telefonie, nie zapomnij, aby tego dnia mieć ciągle włączony Caps Lock :)

1 V: Międzynarodowy Dzień Kaszanki

Powszechnie wiadomo, że maj to miesiąc w sam raz na grilla. Zazwyczaj wszyscy domownicy zbierają się w ogródku lub na pobliskiej łące i wspólnie jedzą jedzenie prosto z różna. Żywnością pojawiającą się na „grillowanych kolacjach” często są szaszłyki, kiełbasa śląska, ale też... kaszanka. Czemu by więc nie obchodzić Dnia Kaszanki? No cóż, zamiast 1-majowego Święta Pracy święto kaszanek...

8 VII: Światowy Dzień Bezsensownych Świąt

Myślę, że wszystkie powyższe święta powinny być obchodzone właśnie ósmego lipca ...

Juliusz Dworniczak, Ksawery Mościcki

PIZZY NIE DA SIĘ NIE LUBIĆ!

Czytelnicy „Agrafki” witajcie w kolejnym kulinarnym zestawieniu! Dzisiaj przygotowaliśmy ranking najlepszych pizzerii na wrocławskim rynku pizzy oraz ranking pizzy na dowóz. Odwiedziliśmy łącznie trzy lokale i zamówiliśmy 2 pizze. Poświęcenia nie było, bo pizzę lubimy!



1. Pizzeria Dominos

Wystrój ładny, jak na kameralną restaurację przystało. Obsługa bardzo miła. Czas, w jakim kelnerka przyniosła nam pizzę, wynosił ponad 10 minut. Zamówiliśmy jedną małą margharitę i od razu poprosiliśmy o pudełko, żeby

zapakować przysmak. Zapłaciliśmy łącznie 16.90 zł, w tym 2 zł za kartonowe pudełko! To spory minus...

W smaku pizza była dobra, nie licząc sera, który miał dość dziwny smak. Ser z początku ciągnął się, po czym zrywał się jak papier toaletowy po wizycie w Sevi Kebab.

Podsumowując - 2.5/5

2. Piekielny Kupiec

Wystrój lokalu bardzo ładny: drewniane ławeczki i stolik ze świeczkami naprawdę dodają klimatu temu miejscu. Obsługa także bardzo miła. Pani szybko podała nam kartę a kiedy usłyszała, że robimy recenzję, zaczęła się śmiać. Zamówiliśmy 2 pizze - margharitę i pepperoni. Obie były gotowe w około 7

minut i kosztowały zaledwie 16zł za sztukę, a były dość duże: smaczne pizze z ciągnącym się serkiem, chrupiącym ciastem i salami. Jedyną wadą była bardzo mała ilość sosu pomidorowego. Jednak nie jest to duży minus przy dobrym smaku całej potrawy.

Dajemy 4/5 i pozdrawiamy panie kelnerki.

3. Pizza Hut

Wszystkim znana sieciówka, której nie trzeba przedstawiać - droga, długi czas oczekiwania. Obsługa na ogół miła, chyba że jak w naszym przypadku psuje się system i trzeba czekać aż 30 minut, żeby coś zamówić. Co jednak najważniejsze: sama pizza jest smaczna. Możemy wybrać ulubioną pizzę, różne sosy, przy-

KULINARNA WALKA Z JESIENNĄ CHANDRĄ

stawki czy picie. Kupiliśmy małą margharitę na cienkim cieście za ok. 18 zł. Dużo sosu, smaczny ser. Czy czegoś więcej do szczęścia potrzeba? 3.5/5 ze względu na ceny i czas przygotowania

Pizza na dowóz

Pizza Station

Zdecydowanie najlepsza pizza, jaką można zjeść we Wrocławiu. Pizza kosztuje 25zł, ale jest ogromna! Najeść się nią mogą co najmniej trzy osoby. Jest na puszystym cieście, ma perfekcyjną ilość sosu i sera. Ser ciągnie się i rozpląwa w ustach. Sos o doskonałej konsystencji. Jedyna wada, to czas oczekiwania, ponieważ na ten przysmak trzeba czekać ponad godzinę.

Mimo czasu oczekiwania serdecznie polecamy tę pizzę. Ocena 5/5



2. Tutti Santi

To pizza w stylu włoskim: na cieniutkim cieście. Jest ono bardzo chrupiące i lekkie, trochę słone. Używają tam prawdziwej dobrej mozzarelli i włoskiego sosu pomidorowego. Kucharze, określający się mianem pizzaiolo, są świetnie wytrenowani w swoim fachu. Każda ich pizza jest zrobiona perfekcyjnie. W smaku pizza jest bardzo dobra i lekka. Jest także bardzo tania, biorąc pod uwagę jej rozmiar. Czas dowozu wyniósł około 40 minut, chociaż raz czekałem na nią 2,5 godziny.

Ocean 4,5/5



Listopad niestety nie należy do najpiękniejszych miesięcy w Polsce. Na dworze jest szaro, robi się zimno, co chwilę pada deszcz. Jak nie popaść w jesienną depresję? Odpowiedź jest prosta – popraw sobie humor jednym z niezawodnych Agrańkowych deserów! W listopadowym przepiśniku przedstawiam Wam trzy fenomenalne przepisy, które z pewnością rozpogodzą Was nawet przy najgorszej niepogodzie

DESER DYNIOWY Z MASCARPONE



Składniki:

250 g mascarpone
150 g śmietany kremówki
250-300 g puree z dynii
2 łyżki amaretto
4 łyżki cukru lub ksylitolu
figi i jeżyny

Sposób przygotowania:

1. Przygotować puree z dynii: Przekroić na ćwiartki. Przy pomocy łyżki wydrążyć miękkie części z pestkami. Pokroić w 2- cm szałty. Ułożyć ściśle na blaszce wyłożonej papierem do pieczenia. Piec w 200°C 15-20 minut. Sprawdzić widelcem, czy dynia jest miękka. Najlepiej jeszcze ciepłą zblendować na gładkie puree
2. Mascarpone ubić ze śmietaną kremówką mikserem. Dodać cukier, puree z dynii i amaretto, wymieszać ponownie
3. Deser ułożyć w pucharkach. Ozobić figami i jeżynami.

BANANOWY BUDYŃ Z KASZY JAGLANEJ

Składniki:

2 szklanki ugotowanej kaszy jaglanej
około 1 szklanki mleka kokosowego
1 szklanka truskawek
1 łyżka ksylitolu/cukru
wanilia (u mnie z młynka)

Sposób przygotowania:

1. Ugotować kaszę jaglaną
2. Truskawki obrać, odszypułkować i pokroić na mniejsze kawałki, następnie umieścić w rondelku z 1 łyżką cukru. Zagotować i gotować około 5 minut do

odparowania nadmiaru wody

3. Kaszę jaglaną umieścić w kielichu blendera, dodać mleko kokosowe (dodałam gęstą, białą część) i obranego, pokrojonego banana. Zblendować na gładki krem. Jeśli uważasz, że jest mało słodki dodaj ksylitolu/cukru

4. Podawać schłodzony w lodówce z żelatiną truskawkową



SZYBKI DESER MALINOWY

Składniki:

250 g serka mascarpone
250- 300 g mrożonych malin
2-3 łyżki cukru lub ksylitolu

Sposób przygotowania:

1. Maliny umieścić w rondelku, zasypać cukrem i postawić na małym ogniu, by się rozmroziły. Gotować około 10 minut, by się rozpadły, także w celu odparowania nadmiaru wody. Maliny przetrzeć przez sitko, by pozbyć się pestek. Mus odstawić do przestygnięcia
2. Serek mascarpone zmiksować przez kilka minut i cały czas miksując dodawać porcjami mus malinowy, aż krem wyraźnie zwiększy objętość i stanie się puszysty. Część musu przeznaczyć na polewę do deseru



POZNAJĄC SMAKI ŻYCIA: TAJLANDIA

Po 15 wyczerpujących godzinach podróży w końcu dotarliśmy do hotelu. Na innym kontynencie, w innej kulturze, z dala od europejskiej architektury, cywilizacji. Tak, zdecydowanie znaleźliśmy się w INNYM ŚWIECIE.

Wśród kolorów i zapachów

Hotel ten był przestronny, w stylu tajlandzkim, otoczony bajecznym ogrodem ze stawami i fontannami. Zapach kwiatów i drzew sandałowych był wszechobecny. Wszędzie rosły storczyki w różnych kolorach hodowane na pniach drzew, palmy kokosowe, fikusy..

Migdałowce zaś przypominały mi drzewa z malarstwa japońskiego czy chińskiego: z powykęcany konarami, obspane białymi lub różowymi kwiatami.

Nie będę pisała o położeniu geograficznym ani o historii tego kraju, ani o polityce czy o czczonym tu władcy, najdłużej sprawujący swój urząd z dotychczasowych: królu Ramie IX, bardzo szanowanym przez naród. Wolę napisać o pięknej przyrodzie i ludziach.

Uśmiechnij się!

Dzisiejszą Tajlandię współtworzą Tajowie 75%, Chińczycy 13%, Malajowie 14%, Szan, Mon, Khmerowie i inne grupy etniczne. To dzięki nim mówi się o Tajlandii, iż jest krainą uśmiechu. Faktycznie, miły uśmiech nie schodzi mieszkańcom na ogół z twarzy: w hotelu, restauracji, w czasie podróży, u sprzedawców owoców. Wobec siebie a także turystów są uprzejmi, gościnni, rozmawiają cicho i spokojnie, czego nie można powiedzieć o turystach z Europy czy Ameryki. Taka przychylna postawa jest na pewno wynikiem przynależności do religii (lub filozofii czy etyki) buddyjskiej, która głosi cztery szlachetne prawdy objawione przez Buddę. W pierwszym kazaniu mówił, iż wszelkie bytowanie rodzi ból i cierpienie, którego sprawcą jest pożądanie, złość i ułuda. Aby się tego wyzbyc, trzeba przejść w Nirwanę (wyzbyć się woli życia, przejść w niebyt). Buddyści są skłonni do medytacji, walczą z pokusami i złą wolą, wiodą skromny tryb życia i okazują dobroć, współczucie wszystkim stworzeniom. Myślę jednak, że pod tą maską uśmiechu kryje się człowiek z całą gamą swoich cech: potrafi kochać, nienawidzić, trosz-

czyć się, służyć innym i buntować się. Nie zapomnę małego incydentu, który nam się przydarzył. Pewnego pięknego poranka znalazłam się w porcie, skąd pragnę-

kadziadełkami, prezentami. Stawiają w tych miejscach jedzenie, proszą dobre duchy o opiekę, odpędzając jednocześnie złe. Przechodnie składają ukłon przy tych



łam przedostać się wodną taksówką na stały ląd. Gdy stałam pochłonięta niezwykłą atmosferą przypominającą mi powieść J.Conrada, zatrzymał mnie starszy, zarośnięty, zmęczony człowiek, który zaproponował mi transport swoją motorową łodzią (taksówką). Zgodziłam się. W tym momencie dopadł mnie inny, młody człowiek z propozycją przewiezienia na drugą stronę. Gdy podziękowałam, „maska” z uśmiechem spadała: w jego twarzy odczytałam wyraz złości pomieszany z nienawiścią. Oj..., pomyślałam, nie chciałabym spotkać się z tobą w ciemnym zaułku.

W krainie duchów

Tajowie są bardzo przesądni, wierzą w istnienie duchów dobrych i złych, czują przed nimi respekt, stąd ogromna popularność amuletów mających chronić ich przed wszelkimi nieszczęściami oraz duża ilość kapliczek stojących przed hotelami, domami, centrami handlowymi a także drzew obwieszonych girlandami,

kapliczkach lub jadąc środkiem lokomocji, dają sygnał klaksonem.

Na wyspie Phuket

Poznanie otaczającego świata zaczęliśmy od wyspy Phuket, którą łączy ze stałym lądem most. Wyruszyliśmy tuż po śniadaniu. Trzeba było szybko dotrzeć do portu, skąd łodzią motorową przedostaliśmy się na stały ląd. Dzień się budził, wokół nas panowała cisza. Gdy zbliżaliśmy się do drugiego brzegu, ogarniał nas coraz większy hałas- krzyk, muzyka, jakieś nawoływanie i padające z głośników informacje. Po półtorej godzinie dotarli-



śmy na wyspę Phuket i rozpoczęliśmy zwiedzanie. Znaleźliśmy się u podnóża przylądka, pokonując kilkanaście metrów wysokości. Dotarliśmy na punkt widokowy, w centrum którego znajdowała się kapliczka ozdobiona kolorowymi girlandami. Dookoła niej stały pozłacane słonie. W dalszej części przylądka znajdowała się współczesna latarnia morska wystawiająca nocą światło na daleką odległość. Jednak najbardziej zainteresowało nas miejsce, z którego buddyści wrzucają do morza urny z prochami swoich najbliższych. Okazało się ono bardzo malownicze. Trudno zapomnieć błękitno-seledynową barwę wody morza, rozrzuconych po nim zielonych wysp i spokojnie płynących żaglowców w blasku słońca.

Zanim dotarliśmy do starej części miasta Phuket, noszącego tę samą nazwę co wyspa, odwiedziliśmy lokalną pakownię nerkowców. Tu za żywą reklamę służyło drzewo nerkowca z owocami. Wita-



wyspą i miastem. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że podczas dwutygodniowego pobytu będziemy te wrażenia dopełniać, gdyż zaplanowane przez nas szlaki będą prowadzić przez całą Tajlandię.

Morscy Cyganie

Tym razem w inny świat zabrała nas długorufowa łódź do wioski Morskich Cyganów, osady zbudowanej na drewnianych pniach wbitych w morskie dno. Wszystko jest wykonane z drewna - chodniki ulic, domy mieszkalne, restauracje. Spacerując uliczkami, pomyślałam o Wenecji...

Mieszkający tu ludzie żyją z połowy ryb, handlu, gastronomii. Podobno pragną zachować trochę prywatności, toteż nie

lubią wścibskich turystów zaglądających do wnętrza domostw, więc chyłkiem przeemykamy z jednej uliczki do drugiej. Spotykamy stragany z pamiątkami, sprzedawcy wabią nas pięknymi tkaninami, biżuterią.

Na koniec mojego reportażu chcę dodać, że jestem wielką fanką podróży. Nie ma nic bardziej rozwijającego niż spotkanie z innymi kulturami. Nie należy więc pytać o to, CZY w ogóle powinniśmy podróżować. Trzeba zapytać, W JAKI SPOSÓB mamy to robić. Powinniśmy zmienić nasze podejście do wakacji i nie traktować ich w kategorii naszego 'świętego prawa do odpoczynku', ale postrzegać je jako dar – od kraju i ludzi, do których się wybieramy. Powinniśmy też pamiętać, że jedziemy tam jako goście, i tak też się zachowywać.



no nas serdecznym uśmiechem, często wano chłodnym napojem tak potrzebnym w ten upalny dzień.

W dzielnicy Phuket Town

Wreszcie dotarliśmy do starej części miasta Phuket, które zamknięte jest w granicach ulic Thalang, Dibuk, Krabi, Soi. Phuket Town czaruje przybyszów orientálním pięknem. Chińsko-portugalski charakter dzielnicy poprzez swoją architekturę wyzwala ducha wyspy. Ten stary kwartał charakteryzuje się niską, jednopiętrową zabudową w kolorze białoróżowym. Budynki chińskie wyróżniają się zawieszonymi, kolorowymi lampionami. Nasza grupa miała możliwość przeżyć przygodę kulinarną w typowo tajskiej restauracji o konstrukcji drewnianej, zadaszonej, z trzech stron otwartej. W takim wnętrzu mieliśmy nie tylko degustować, ale też uczyć się gotować regionalne potrawy. Był to nasz pierwszy kontakt z



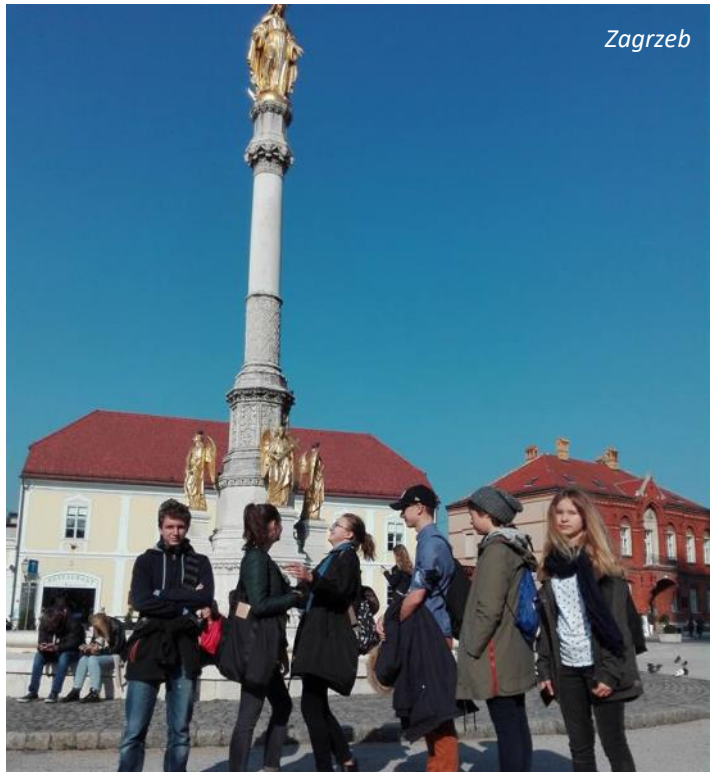
ERASMUS+ W CHORWACJI

W dniach od 8 do 14 X grupa naszych uczniów pod przewodnictwem pani Asi Wałcerz i pana Piotra Wałcerza w ramach programu Erasmus+ gościli w Chorwacji. Nasi uczniowie zwiedzili przy okazji Wiedeń i Budapeszt.

Nova Gradiška



Zagrzeb



Uczestnicy kolejnego spotkania w ramach programu Ersamus + : tym razem Chorwacja